ks. Piotr

PAWLUKIEWICZ

ŻYCIE

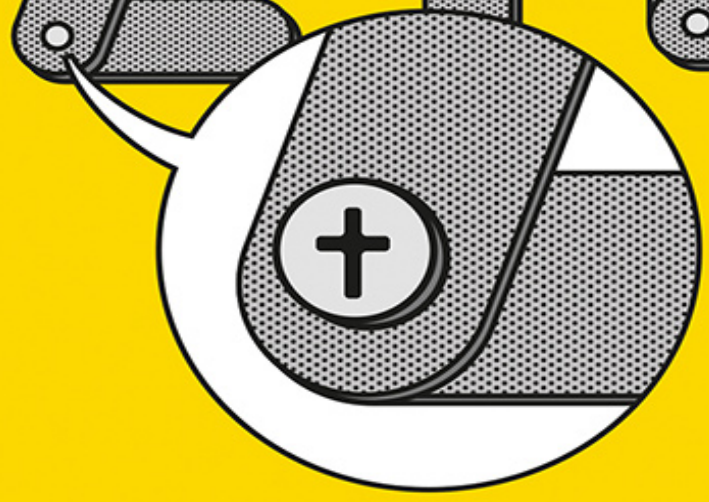

Instrukcja obsługi

znak

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ks. Piotr

PAWLUKIEWICZ

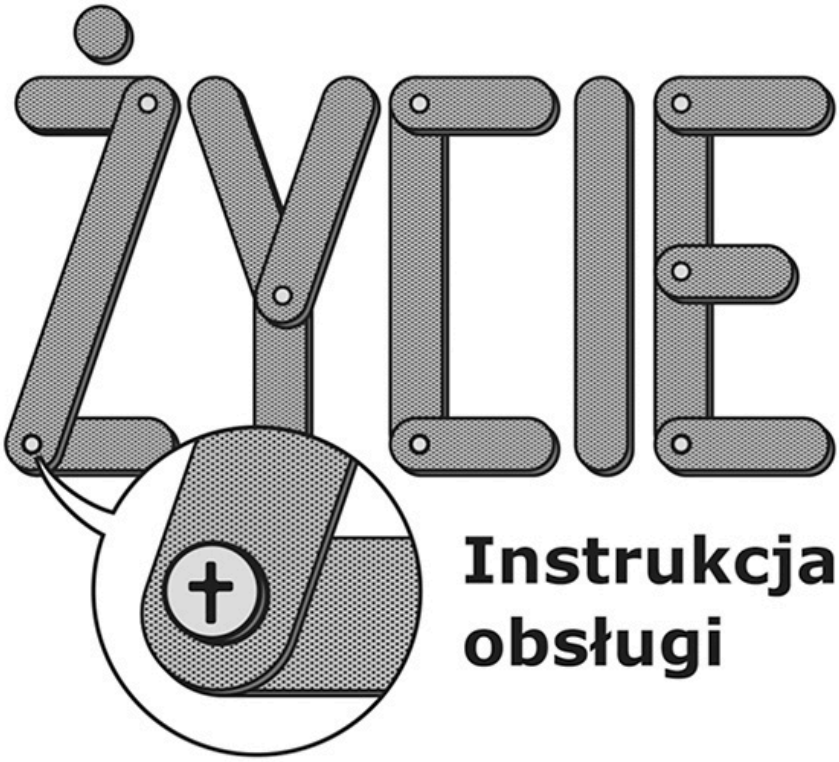

Instrukcja obsługi

Wydawnictwo Znak
Kraków 2020

Jonathan Borba/Unsplash

MIŁOŚĆ

> „Trzeciego dnia odbywało się wesele w Kanie Galilejskiej i była tam Matka Jezusa. Zaproszono na to wesele także Jezusa i Jego uczniów. A kiedy zabrakło wina, Matka Jezusa mówi do Niego: «Nie mają już wina». Jezus Jej odpowiedział: «Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?». Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: «Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie». Stało zaś tam sześć stągwi kamiennych przeznaczonych do żydowskich oczyszczeń, z których każda mogła pomieścić dwie lub trzy miary. Rzekł do nich Jezus: «Napełnijcie stągwie wodą!». I napełnili je aż po brzegi. Potem do nich powiedział: «Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu!». Oni zaś zanieśli. A gdy starosta weselny skosztował wody, która stała się winem – nie wiedział bowiem, skąd ono pochodzi, ale słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli – przywołał pana młodego i powiedział do niego: «Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, wówczas gorsze. Ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory». Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie”.
>
> **J 2, 1–11***

Ten fragment może nam się wydawać bardzo dziwny – Jezus zachowuje się, jakby obawiał się dokonać tego znaku, obawiał się upublicznić swoją nadprzyrodzoną moc. Uczynić ją jawną wobec świata. Dlaczego się tak zachowywał? Być może dlatego, iż wiedział, że jak raz rozpocznie, to już będzie musiał pójść drogą nauczania, głosić królestwo Boże, czynić cuda. Być może dlatego, iż wiedział, czym się to zakończy. Krzyżem na Golgocie.

Być może to są powody, dla których Jezus pyta: „Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?”. I tu zderza się z pełną ufności postawą swojej Matki, która mówi: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie”. Ona wie, że Jezus ma tak dobre i wrażliwe serce, iż nie pozostawi tych biednych nowożeńców i ich rodziców w trudnej sytuacji. To ważne! Jezus decyduje się rozpocząć swoją działalność jako Syn Boży i Mesjasz od cudu, w którym chodziło o to, że na weselu zabrakło wina, a wino jest przecież po to, by w ludzkich sercach było wesele. To, co On zrobił, jest niesamowitym dowartościowaniem zakochania się kobiety i mężczyzny. Nie znamy imion tych nowożeńców, ale ich wesele było niezwykłe.

Jest jeszcze jeden powód takiego dowartościowania. Proszę zwrócić uwagę, że w Ewangelii nie ma ani jednej sceny, w której widzielibyśmy takie jak tu pospolite ruszenie wszystkich najświętszych postaci. Bo na tym weselu jest i Pan Jezus, i Matka Boża, i dwunastu apostołów.

Często, jeśli w jakimś fragmencie Pisma Świętego jest Pan Jezus z apostołami, to nie ma w nim ani słowa o Matce Bożej. Jeśli Chrystus jest ze swoją Matką, to we fragmencie tym nie występują apostołowie. Tymczasem na to konkretne wesele przyszło całe niebo. W taki sposób Bóg podkreśla, że to, iż kobieta i mężczyzna się miłują, kochają i zawierają małżeństwo, jest ogromnie ważne. Proszę też zwrócić uwagę, że Pan Bóg przyszedł do zakochanych młokosów. Nam mogłoby się wydawać, że jeśli już gdzieś Pan Jezus miałby przychodzić, to powinien raczej wstąpić na jakiś jubileusz pięćdziesięciolecia. Dwoje ludzi przeżyło razem pięćdziesiąt lat, odchowali dzieci, wnuki, no to i w nagrodę Pan Jezus się im należy, prawda?

On tymczasem przyszedł do takich, którzy dopiero startują. Przyszedł i zorientował się, że sytuacja jest trudna. To były inne czasy, inny świat. Nie

można było wtedy w Kanie Galilejskiej skoczyć do nocnych delikatesów albo na Orlen, żeby dokupić alkoholu. Pan Jezus wiedział, co prawda, że za dwa tysiące lat będą całodobowe stacje benzynowe, ale w tamtej rzeczywistości to On musiał wkroczyć do akcji i stworzyć studnię, której alkoholicy szukają po dziś dzień.

Wychodzę od pochwały zakochania, bo jest ono rzeczywiście piękne. Gdyby nie zakochanie się naszych pradziadków, że już nie będę sięgał dalej, naszych dziadków, zakochanie naszych rodziców, toby nas dziś nie było. Wszystko zaczęło się od tego, że kiedyś, naprawdę dawno temu, twój dziadek powiedział do babci: „Może zatańczymy?”. Może zaczęło się to od tego, że twój tata powiedział do mamy: „Przepra-szam, czy nie upadła pani torebka? Bo coś tutaj leży”. Być może tak to się właśnie zaczęło i trwa do dzisiaj. Od wieków tak samo.

Nierzadko myślimy, że tylko my przeżywamy takie miłości. Tymczasem to, jak oni kiedyś się kochali, w głowie nam się nie mieści. Niech nie zwiodą nas te długie spódnice, babcie i przyzwoitki, które sprawiają, że myślimy o minionych dziesięcioleciach jak o bardziej „stonowanych” czasach. Wtedy też były szalone miłości!

Ksiądz prałat Tadeusz Sowa, który pracował kiedyś w kościele pod wezwaniem Świętej Anny w Warszawie, opowiedział mi taką anegdotę. Pewien wnuczek rozmawiał z dziadkiem:

– Dziadku! Jak poznałeś babcię? Jak wyście się w ogóle poznawali pięćdziesiąt lat temu? Dzisiaj to my mamy internet, mamy czaty, mamy Gadu-Gadu, mamy komórki… My się ciągle kontaktujemy i możemy się poznać, ale wtedy? Jak wyście się poznali?

Dziadek się chwilę zastanowił, zamyślił, po czym powiedział:

– Tak samo. Twoja babcia też chodziła do internetu... Znaczy, do internatu chodziła. I jak ona tak szła, to ja stałem na czatach i ja ją brałem

na gadu-gadu. A żeby nie ta komórka, to i tatusia by nie było, i ciebie by nie było.

Z pokolenia na pokolenie rodzą się ludzie, święci się rodzą, bo gdzieś jakieś serca mocniej zabiły. Oczywiście trzeba jednak trochę z tymi porywami serca uważać, a ja, jak przystało na księdza katolickiego, muszę was przestrzec. Pomogę sobie taką wędkarską metaforą. Trudno jest, będąc na łódce, zarzucić sieć tak, by nie polecieć wraz z nią do jeziora. Mówię to całkiem poważnie – raz, namówiony przez kolegę wędkarza, próbowałem łowić ryby z łódki na wędkę. Największa sztuka to tak ją zarzucić, by jej koniec nie wylądował pół metra od łódki, ale by jednocześnie za nią nie polecieć.

Podobnie wygląda proces zakochania, kiedy chłopak zarzuca sieć na dziewczynę. Konstruuje ją – „może się pouczymy”, „zapraszam cię na oglądanie znaczków”, „czy nie wgrać ci nowej tapety na telefon?”. Zarzuca tę sieć i zarzuca, aż nieraz się zdarzy, że tak się zamachnie, tę sieć tak zarzuci, że wypadnie z łódki i poleci prosto do wody, zatraci siebie. Jak mówił w *Weselu* Stanisław Wyspiański: „Jak się żenić, to się żenić! To tak jakby w uniesieniu w równe nogi wskoczyć w studnię!”. Otóż to nie powinno tak wyglądać. Trzeba zarzucić sieć, ale pozostać na swojej łódce. Pozostać sobą.

Jeśli mamy kogoś obdarować miłością, to musimy sami siebie mieć, nie możemy się zatracić. Jeśli człowiek się straci, zapomni,

kim jest, to nie będzie mógł się już dać tej dziewczynie czy temu chłopakowi, którzy są obiektami westchnień. Nie może się dać, bo przestał być sobą.

Jeśli mamy kogoś obdarować miłością, to musimy sami siebie mieć, nie możemy się zatracić. Jeśli człowiek się straci, zapomni, kim jest, to nie będzie mógł się już dać tej dziewczynie czy temu chłopakowi, którzy są obiektami westchnień. Nie może się dać, bo przestał być sobą.

Mamy, niestety, w naszych czasach dwie wyjątkowo przykre choroby cywilizacyjne. Jedną z nich jest potworna samotność ludzi, wynikająca na przykład z poczucia, że nie było się ważnym dla swoich rodziców.

Mamy, niestety, w naszych czasach dwie wyjątkowo przykre choroby cywilizacyjne. Jedną z nich jest potworna samotność ludzi, wynikająca na przykład z poczucia, że nie było się ważnym dla swoich rodziców. Jeśli tak się zdarzyło, całe życie borykamy się potem z przekonaniem, że dla nikogo nie jesteśmy ważni. Druga choroba to grzech, a konkretnie: ciągłe przeżywanie go. Chodzi mi tu o sytuację, w której ktoś nie chce oddać

Bogu swoich grzechów i ciągle je niesie. Niby się z nich wyspowiadał, ale nie wierzy, że zostały mu wybaczone i odpuszczone.

Czym grożą te dwie choroby? Jedną ich konsekwencją jest strach przed zbliżeniem się do kogokolwiek. Kiedyś w Laskach widziałem, jak niewidome dzieci uczyły się chodzić. Zakładały na siebie kółka, które wyglądały trochę jak hula-hop i które chroniły je przed wejściem w drzewo, znak drogowy czy w innych ludzi. Są osoby – być może należysz do nich ty, który czytasz tę książkę – mające wokół siebie jakieś niewidzialne kółko trzymające od wszystkiego na dystans i chroniące przed jakimkolwiek zbliżeniem. Myślę o dystansie cynizmu, poczucia humoru, intelektualnej żonglerki.

Inną konsekwencją wymienionych chorób jest popadanie ze skrajności w skrajność. Raz deklarowanie, że nikogo nie chce się znać, nikogo się nie potrzebuje, że jest się beznadziejnym, kimś, kogo nikt nie pokocha i kto nie nadaje się do związku, żeby za tydzień trąbić głośno o tym, że się zakochało. Rozmawiałem z takimi młodymi ludźmi, chłopcami i dziewczętami, studentami, studentkami, którzy przychodzili do mnie i mówili: „Proszę księdza, ja mam powołanie do samotności, w żaden związek nigdy nie wejdę”. Tydzień później ta sama osoba przychodzi, twarz tylko jakaś inna, zmieniona, ciśnienie sześćset na trzysta: „Proszę księdza, moja dziewczyna...”. I znów po tygodniu:

– Co sam przychodzisz? – pytam.

– A z kim miałem przyjść?

– No, z twoją dziewczyną.

– Dziewczyną? Nie pamiętam. O kim ksiądz mówi? Proszę księdza, to był malutki błąd życiowy. Nastąpiła korekta lotów, już wróciłem do siebie.

Samuel Daniel/Unsplash

Prawdziwa miłość polega na tym, że ja jestem tu, a ty – moja dziewczyna – jesteś naprzeciwko mnie. Nie polega na tym, że ktoś w kimś się zatraca.

I tak ze skrajności w skrajność. Jednego dnia związek taki, że już planowali, jak będą ustawione meble w ich mieszkaniu, by zaraz potem wszystko się skończyło.

Pamiętajcie, kiedy Bóg wyjął Ewę z boku Adama, to zalepił ten fragment jego ciała, który uprzednio otworzył, żeby Ewa nie mogła wejść tam z powrotem. Prawdziwa miłość polega na tym, że ja jestem tu, a ty – moja dziewczyna – jesteś naprzeciwko mnie. Nie polega na tym, że ktoś w kimś się zatraca. To bardzo ważne! Często w tej poezji zakochania mówi się, że „teraz jesteś częścią mnie”. Proszę tego nie robić! Nie jesteś częścią mnie. Ja jestem sobą i ty jesteś sobą. Ja jestem cały, jestem wystarczalny. Jeśli powiemy do kogoś: „Jesteś sensem mojego życia”, będzie to bałwochwalstwo. Sensem naszego życia jest tylko Bóg. Kiedy mówimy do kogoś: „Żyć bez ciebie nie mogę”, są to oznaki jakiegoś duchowego uzależnienia. Często to chłopak chce zrobić na dziewczynie kolosalne wrażenie, więc mówi, że żyć bez niej nie potrafi, że jest sensem jego życia, że jest jego powietrzem, wodą i chlebem... To prowadzi do zguby, tak nie można. Wiecie, jeśli Bóg jest na pierwszym miejscu, to wszystko jest na swoim miejscu.

Wyobrażam sobie, że życie bez Chrystusa to jak życie bez światła. Po ciemku wyjątkowo trudno

jest coś odpowiednio chwycić, wziąć, złapać.

Wyobrażam sobie, że życie bez Chrystusa to jak życie bez światła. Po ciemku wyjątkowo trudno jest coś odpowiednio chwycić, wziąć, złapać. Są takie wąskie, wysokie filiżanki – wyjątkowo wywrotne. Wyobraźmy sobie, że zgasło światło, a my siedzimy przy stoliku, na którym stoi taka filiżaneczka z jakimś napojem. Ktoś nam mówi: „Weź ją złap”. Jak byśmy się do tego zabrali? Zaczęlibyśmy zapewne od delikatnych ruchów, bo za mocne, gwałtowne i intensywne mogłyby ją wywrócić. Gdy jest światło, nasz chwyt może być stanowczy, gdy jest ciemno, boimy się, czy aby nie uszkodzimy czegoś w tej ciemności.

Z Chrystusem i Jego brakiem w naszym życiu jest bardzo podobnie. Jeśli Go nie ma, to albo młody chłopak z dziewczyną nie potrafią się zdrowo przed sobą otworzyć, ładnie poznać i mądrze do siebie podejść, albo robią to za słabo i zderzą się w tej ciemności głowami.

Gdy byłem świeżo upieczonym księdzem, a ktoś przychodził do mnie na rozmowę i mówił, że ma jakiś problem, robiłem wszystko, by go troszkę poruszyć. Żeby mu słowo Boże głęboko wsadzić w serce. Zdarzało mi się czasami, że mówiłem coś do kogoś, a on tylko patrzył – zero reakcji. Myślałem sobie wtedy: „Kurczę, to na niego nie działa”, i waliłem mocniejsze argumenty. On tylko siedział i patrzył, i ewentualnie mruknął: „Yhym”. Ja więc wytaczałem najcięższe działa: „Słuchaj, jeśli będziesz tak robił, pójdziesz do piekła”. A on tylko słucha i mówi to swoje „Yhym”. Pamiętam jedną taką rozmowę, po której – trzy tygodnie minęły – gość do mnie zadzwonił. Byłem przekonany, że mi się nie udało. Miałem wrażenie, że w ogóle nie zrobiłem na nim wrażenia. Nie był poruszony, nie był przejęty. Tymczasem przez telefon powiedział:

– Proszę księdza, jeszcze się nie mogę podnieść po naszej rozmowie.

– Jezu, ja myślałem, że w ogóle nie zrobiła na tobie wrażenia – odpowiedziałem.

– Zmiażdżył mnie ksiądz po prostu. A ja tylko robiłem dobrą minę do złej gry i udawałem, że wszystko jest w porządku. Bo co miałem powiedzieć? Byłem po prostu przerażony...

Od tamtego czasu trochę opanowałem już moc słów. Mam nadzieję, że teraz jest nieco więcej Bożego światła w tym, co mówię, i że lepiej ludzi czytam, a co za tym idzie, potrafię stwierdzić, czy robię na nich wrażenie.

Wspomniałem o tym, bo tak jak ja chciałem zrobić wrażenie na swoich rozmówcach, tak chłopak chce zrobić wrażenie na dziewczynie, prawda? Jeśli brakuje nam w życiu Chrystusa, to gdy chcemy się zbliżyć do człowieka, możemy go strasznie poranić i na dodatek w ogóle tego nie zauważyć. Bez Chrystusa albo w ogóle się nie odnajdziemy, albo dojdzie między nami do czołowego zderzenia, albo będziemy tak uzależnieni od rodzącej się relacji, że będziemy aż chcieli wessać tę drugą osobę w siebie.

To przypomina mi anegdotę, którą kiedyś opowiadał ojciec Joachim Badeni. Ktoś go zapytał: „Ojcze, czy wolno się całować?”, a ten dominikanin odpowiedział: „No, wolno się całować, ale czy koniecznie musi to być od razu pompa ssąco-tłocząca?”. Rzeczywiście, proszę zwrócić uwagę, że nieraz, na przykład na Starym Mieście pod kolumną Zygmunta, trudno nie zauważyć par, które całują się tak, jakby po prostu chciały się pożreć. Jakby były przeraźliwie wygłodniałe. Jakby on jej jeszcze językiem wyciągał resztki obiadu z zębów. Wiem, niesmaczne, ale czasami naprawdę tak to wygląda.

Jeśli brakuje nam w życiu Chrystusa, to gdy chcemy się zbliżyć do człowieka, możemy go strasznie poranić i na dodatek w ogóle tego nie zauważyć. Bez Chrystusa albo w ogóle się nie odnajdziemy, albo dojdzie między nami do czołowego zderzenia, albo będziemy tak uzależnieni od rodzącej się relacji, że będziemy aż chcieli wessać tę drugą osobę w siebie.

Kiedy czyniłem sobie te refleksje o tonących w źle pojmowanej miłości kochankach, podpierałem się myślami ojca Rafała Skibińskiego, dominikanina. To był fantastyczny człowiek. Żył bardzo krótko, niestety. Był księdzem zaledwie cztery lata. Zginął w wypadku samochodowym. On to właśnie pisał o tym nieprawdopodobnym uzależnieniu, o tym, że w takiej

miłości ludzie się po prostu zjadają. Wtedy olśniła mnie jedna rzecz, która teraz wydaje mi się oczywista. Jest jeden człowiek, jedna osoba, która mówi do ciebie: „Zjedz Mnie. Mówię całkiem poważnie. Ja ci się dam zjeść. Jedz Mnie codziennie, pij moją krew”. Myślę, że wiecie już, o kogo chodzi.

Miłość do Chrystusa jest zupełnie inna niż ta międzyludzka. W niej wszystkie te zasady, o których przed chwilą pisałem, należy potraktować na opak. Chrystusa jedzmy. Zjadajmy Ewangelię. Jeśli zarzucamy naszą sieć, chcąc złapać Chrystusa, to lećmy za tą siecią z nogami, głową, uszami i nosem. Ale pamiętajmy, że to się tyczy tylko Chrystusa. Nie zjadaj nigdy dziewczyny. Nie zjadaj nigdy chłopaka. Z takiego zjadania zrobi się tylko wielki konflikt – w sobotę miłość, w poniedziałek już nienawiść.

Chrystus jest gotów nasycić nas w głębi duszy, ale my nie chcemy w to uwierzyć. Słuchamy tego, że Bóg sam wystarczy, jest nawet taki kanon z Taizé *Bóg sam wystarczy*, ale nie traktujemy tego poważnie. Tymczasem On naprawdę, jeśli chodzi o głębię naszego serca, sam wystarczy. Oczywiście powołani do małżeństwa potrzebują chłopaka, dziewczyny, męża, żony, ale głodu głębi serca nie wypełnią żaden chłopak i dziewczyna, żaden mąż i żona. Chrystus, choć chce, nie wypełnia nas do końca, bo my nie otwieramy przed Nim do końca serca.

Chrystus, choć chce, nie wypełnia nas do końca, bo my nie otwieramy przed Nim do końca serca.

Zdarzało się wam być kiedyś na takim obiedzie, na którym tak się najedliście, że ledwo wstaliście z krzesła? Wyobraźcie sobie, że wracając z niego, spotykacie na ulicy znajomego, który wam proponuje: „A może hot doga?”. Jaka byłaby wasza reakcja? „Oj, daj spokój! Słuchaj, nie dam rady.

W ogóle nie mów mi o jedzeniu, tak jestem najedzony”. I teraz pytanie: czy gdy wychodzimy z mszy świętej, jesteśmy tak najedzeni miłością Chrystusa, że mówimy: „Słuchaj, nie mów mi o żadnym jedzeniu. Ja po prostu mam Chrystusa. Owszem, mam też dziewczynę, kocham mamę, kocham przyjaciela, ale w głębi serca jestem już nasycony”? Wiecie przecież, co się dzieje, gdy jesteśmy zaproszeni na obiad, który nam nie smakuje. Liźniemy sobie coś *pro forma*, a zaraz po wyjściu stamtąd mówimy: „Jakąś kanapkę bym zjadł. Czymś bym ten obiad poprawił”. Właśnie tak zachowuje się wielu ludzi wychodzących z kościoła – rozglądają się za jakąś kanapką. O, idzie taka blondwłosa kanapka. Może by ją zjeść?

> **Nie proś nigdy chłopaka, żeby wypełnił twoją samotność do końca. Musisz zostać w pewnym sensie samotna, bo samotność to jest przedpokój, w którym czeka się na spotkanie z Chrystusem.**

My się nawzajem często chcemy zjeść, bo nie czujemy się tam, w głębi serca, gdzie nie może dojść żaden człowiek, najedzeni. A głodujemy przecież na własne życzenie, nie dopuszczając w głąb swojego jestestwa Chrystusa. Nieraz ludzie mnie pytają: „Proszę księdza, czy warto chodzić z niewierzącą dziewczyną? Czy warto chodzić z niewierzącym chłopakiem? Czy ma sens takie chodzenie chrześcijanina z niewierzącym?”. To, co powiem, dotyczy nie tylko takich zdeklarowanych niewierzących. Uważajcie też na kogoś, kto nie kocha Chrystusa, kogo Chrystus nie wypełnia. On będzie chciał cię zjeść. On po prostu będzie chciał w ciebie wejść i zrobić z ciebie część swojego życia.

Będzie chciał cię od siebie uzależnić. Będzie ci mówił, że jesteś jego cząstką.

My w jakimś stopniu musimy pozostać samotni. Nie proś nigdy chłopaka, żeby wypełnił twoją samotność do końca. Musisz zostać w pewnym sensie samotna, bo samotność to jest przedpokój, w którym czeka się na spotkanie z Chrystusem. Są ludzie, którzy próbują go za wszelką cenę zastawić. Świadczyć o tym mogą setki esemesów. „Dobranoc”, „No to śpij, kochanie”. A trzydzieści sekund później: „Śpisz? Jeszcze coś mi się przypomniało. Nie podziękowałam ci za ten bukiecik kwiatów. No to pa”. Po piętnastu sekundach: „Śpisz? Nie podziękowałem ci za to, że tak ładnie mi podziękowałaś”.

Jeśli tylko nie śpię, muszę z tobą rozmawiać. Muszę mieć z tobą kontakt.

– Co robisz?

– Piszę maila do ciebie.

– Już odbieram. Jak ci odpowiedzieć? Esemesem czy mailem?

To już naprawdę zakrawa na obłęd, a potęgują to zwłaszcza obecne możliwości komunikacyjne. Takie zachowanie po prostu nie jest zdrowe. Nie tak powinno to wyglądać. To oczywiste, że jeśli wracasz do domu po całym dniu pracy czy nauki, jest w tobie pragnienie, żeby zadzwonić do swojej dziewczyny czy chłopaka i zrobić mu niespodziankę. Ale może warto czasami z tego zrezygnować? Może warto pozostawić wieczór tylko dla swojego Mistrza?

Zakochanie wyzwala w człowieku nieprawdopodobny potencjał energii. Chłopak, gdy zobaczy piękną dziewczynę i przejrzy się w jej oczach – a w oczach dziewczyny widzi się nieprawdopodobnie pięknie – będzie niezwykle zmotywowany. „Wiersze zacząłem pisać. Orlą Perć przeszedłem. Papierosy rzuciłem. Wstaję rano. Zacząłem się znać na kwiatach i na

współczesnej muzyce”. Będzie myślał: „Kocham cię, dziewczyno! Jaka jesteś niesamowita. Jesteś niesamowita nie z uwagi na swoje istnienie, ale dlatego, że obudziłaś mnie ze snu. Teraz jest mi dobrze. Robię rzeczy, które zawsze chciałem robić. Jesteś niesamowita! Stój, nie ruszaj się. Dalej bądź takim ekranem, na którym wyświetlam sobie swój film. Jak ładnie w nim wypadłem”.

Vitor Pinto/Unsplash

Czy taka dziewczyna, która jest ekranem, kocha siebie? A czy jest kochana? Czy nie jest przypadkiem tak, że ten chłopak w jej oczach kocha nie ją, ale samego siebie? Kocha nie ją, ale uczucie, jakie ma w sobie, będąc koło niej? To jest wielkie niebezpieczeństwo. Oczywiście taki chłopak będzie mówił: „Chcę być z tobą do końca”, chociaż zaraz potem doda: „Tylko stój tak równo, jak stoisz. Nie ruszaj się, bo mi się wyświetlany obraz załamie”. Co będzie, gdy dziewczyna jednak się ruszy? On powie: „Zraniłaś mnie! Zobacz, co zrobiłaś! Widzisz? Taki byłem ładny, piękny, a ty mnie zagięłaś. Zobacz, co się stało. Teraz ci wygarnę całą prawdę”. I zaczyna się, bo w tak budowanej relacji żadnej miłości nigdy nie było.

To samo może zrobić dziewczyna z chłopakiem. „Przyjedź na spotkanie w białym garniturze bez guzików, będę się ładnie na tobie wyświetlała”. Dziewczyna, która do tej pory czuła się brzydulą, nagle w takiej relacji staje się księżniczką. Dotychczas na zabawie zawsze stała w kącie, teraz tańczy walca i szepce chłopakowi do ucha: „Jak ja cię kocham”. Tymczasem w myślach rozwija to zdanie dalej: „Kocham siebie, bo przy tobie odważyłam się nawet tańczyć. Rodzice mnie zachęcali, koleżanki mnie zachęcały, ale nikomu do tej pory nie udało się mnie przekonać. Jak ja cię kocham, jaka ci jestem wdzięczna”.

Kiedyś może przyjść refleksja: „Jeśli będę dalej tak się wyświetlał na kolejnej dziewczynie... Na jednej się powyświetlam, na drugiej się powyświetlam, to się wykończę, wykończę innych i zmarnuję powołanie. Muszę spojrzeć inaczej na ludzi. Oni nie są ekranami. Ludzie są ludźmi. Są tajemnicą”.

Dzisiaj świat chce wszystkiego szybko. Ludziom brakuje cierpliwości. Nawet dżinsy kupuje się od razu wytarte.

Ponieważ żyjemy w świecie informatycznym, żeby przybliżyć to, o czym mowa, posłużę się elektronicznym porównaniem. Wiesz, czym jest tajemnica drugiego człowieka? To tak, jakbyś, drogi chłopaku, dostał superlaptop, a na nim zapisane na pulpicie dwie prezentacje o wspaniałej dziewczynie. Co poza nimi? Sto gigabajtów danych, nieprawdopodobne pliki, ale wszystkie zaszyfrowane. Zakochasz się w takim laptopie? Chcesz takiego ślubu? Dziewczyna, która przychodzi do ołtarza, pokazała ci zaledwie parę prezentacji o sobie. Reszta plików jest zahasłowana. Jeśli będziesz nieostrożny, źle będziesz przy tych plikach grzebał, zostaną skasowane. Trzeba podchodzić do nich bardzo delikatnie. I tak wygląda życie. Nie da się poznać wszystkich danych od razu.

Dzisiaj świat chce wszystkiego szybko. Ludziom brakuje cierpliwości. Nawet dżinsy kupuje się od razu wytarte. Po co czekać, aż czas się tym zajmie? Dawniej czekało się na list. Dzisiaj jeszcze nie skończysz pisać esemesa, a już masz na niego odpowiedź. Ludzie chcą też poznać każdą tajemnicę. Chcą mieć pewność w każdej kwestii. „Ale czy mnie kochasz? Powiedz mi, czy kochasz! I musisz mi to powiedzieć dzisiaj, koniecznie!” A co, jeśli ta zapytana osoba jeszcze tego nie wie i jutro też nie będzie wiedziała? Trzeba czekać.

Podobnie jest z bólem. Słuchaj, zraniliśmy się. Musimy się natychmiast przeprosić, natychmiast pocieszyć – wiadomo jak. Ale dlaczego? Nie usuwajmy tego bólu. Nieraz odczytanie tego, co ból ma nam do powiedzenia, może wywrócić nasze życie do góry nogami, skierować je na

inne, zupełnie nie znane nam drogi. To pycha chce wszystko od razu wyjaśniać.

W związku chłopaka i dziewczyny może dojść do takiego momentu, w którym trzeba powiedzieć:

– Słuchaj, nie rozumiem, co się między nami stało.

– Ja też nie rozumiem. To wiesz co? Zostawmy ten problem. Wiesz, tak jak wirusa wrzuca się na kwarantannę i on sobie tam leży. Czeka na lepszy system, który być może go naprawi, ale dziś nie jest to jeszcze możliwe. Zostawmy go, nie grozi nam, ale jest.

Bardzo mi się spodobało w jednej z ksiąg Starego Testamentu, kiedy Żydzi wrócili do Świątyni zbezczeszczonej przez pogan. Odbudowali ją, ale nie wiedzieli, co zrobić z kamieniami ze zbezczeszczonego ołtarza. Ktoś powiedział: „Złóżmy te kamienie na boku. Przyjdzie kiedyś prorok, to nam powie, co z tym zrobić”. Właśnie tak!

Macie jakieś problemy, posprzeczaliście się o coś i myślicie, że koniecznie musicie wyjaśnić, czyja to wina. Nieprawda. Wrzućcie sprawę na kwarantannę. Pójdziemy kiedyś do mądrego księdza, pójdziemy do psychologa, on nam wyjaśni. Jeśli nie możemy sobie z problemem poradzić, to go zostawmy, nie próbujmy rozwiązać na siłę, bo to źle na nas wpływa, a przecież się kochamy, nie chcemy się kłócić.

Jeśli chcemy zobaczyć, czy coś, na przykład jakieś ubranie, jest czyste, podchodzimy do okna, żeby obejrzeć je w lepszym świetle. Podobnie wygląda sprawa z Chrystusem, Biblią i Kościołem. Trzeba do nich podejść i powiedzieć: „Panie Jezu, to jesteśmy ja i moja dziewczyna. Czy my jesteśmy czyści? Czy w naszych głębokich pragnieniach, w jakichś kombinacjach jesteśmy czyści? Czy nasze intencje, podejście do siebie nawzajem nie jest gdzieś sprytnie zabrudzone przez złego ducha?”.

Macie jakieś problemy, posprzeczaliście się o coś i myślicie, że koniecznie musicie wyjaśnić, czyja to wina. Nieprawda. (...) Jeśli nie możemy sobie z problemem poradzić, to go zostawmy, nie próbujmy rozwiązać na siłę, bo to źle na nas wpływa, a przecież się kochamy, nie chcemy się kłócić.

Zakochanie jest dobre, kiedy niekoniecznie myślimy o nim, że musi się zakończyć ślubem. Jest wiele zakochań pięknych i szlachetnych, które nigdy nikogo nie doprowadzają do ołtarza. Mimo to były potrzebne. Nauczyłem się czegoś przy tej dziewczynie. Nauczyłam się czegoś przy tym chłopaku. Zdobyłam doświadczenie. Rozstaliśmy się, ale bardzo miło go wspominam. A nawet jeśli był dla mnie trudny, rozdrażnił nieco moją pychę, to też za to Bogu dzięki.

Jest wiele zakochań pięknych i szlachetnych,
które nigdy nikogo nie doprowadzają do ołtarza.
Mimo to były potrzebne.

Zresztą to dotyczy nie tylko zakochanych. Niektórzy wstępują do seminarium i po roku z niego występują, ale ten pobyt w nim też im się przydaje, nie jest czasem zmarnowanym.

Zakochanie jest dopiero początkiem. Później czeka długa droga. Zawsze powtarzałem, że jestem zakochany w zakochanych emerytach. Chodzenie z młodą dziewczyną za rękę po ulicy i całowanie się to jest dość prosta sprawa. Żadne wielkie osiągnięcie. Ale gdy widzę emerytów w ogrodzie Saskim, w ogrodzie Krasińskich, którzy siedzą na ławce, mają po osiemdziesiąt lat, trzymają się za ręce i patrzą w jednym kierunku, to wzruszam się ogromnie. Ona mówi: „Pamiętasz, Władziu, pięćdziesiąty szósty?”. On mówi: „No”. Koniec. O czym gadać? Oni to już nieraz omówili. Wszystko zostało omówione. Tylko hasła rzucają. „A pamiętasz czterdziesty szósty?” „Jasne”. I tak sobie siedzą. To jest urocze! Potem wstają, on jej podaje rękę i powolutku idą sobie alejką. To jest cudowne.

Kiedyś spotkałem takich zakochanych emerytów, chodząc po kolędzie. Przyszedłem do nich, pomodliliśmy się. Pani poszła do kuchni zrobić herbatę. Ja pytam: „Jak długo jesteście państwo małżeństwem?”. On odpowiada, że właśnie niedawno świętowali pięćdziesięciolecie.

– Jesteście państwo szczęśliwi?

– No jasne, oczywiście. Proszę księdza, moja żona jest najpiękniejszą kobietą w Europie Wschodniej.

– Nie gadaj księdzu tych głupot. – Żona wychyliła się z kuchni.

– Nie, tak po męsku. Ona jest najpiękniejsza. Proszę księdza, ja byłem kierowcą tira, jeszcze za komuny. Ja zjeździłem NRD, zjeździłem Czechosłowację, jeździłem do Austrii. Widziałem mnóstwo kobiet: Włoszki, Angielki, ale tak pięknej kobiety jak moja żona nie widziałem. I niech ksiądz nie zaprzecza, bo się pokłócimy.

– Musieliście się państwo nieprawdopodobnie dobrać charakterami – powiedziałem, nawet nie myśląc o zaprzeczaniu.

Pose d'ongles
Solarium
Soins du visage
Epilations
Le Libanais

Lynn Kintziger/Unsplash

– A nie, proszę księdza, charaktery akurat obydwoje mamy paskudne.

– No jak charaktery paskudne, skoro tak pan żonę kocha, a i ona… Przecież widzę, jak na pana spogląda – nie ustępowałem.

– Proszę księdza, to wszystko zasługa tego krzyża. – Pokazał mi zabytkowy duży krzyż wiszący na ścianie. – Dostaliśmy go od pewnego kuzyna jako prezent ślubny, bośmy się już przed ślubem kłócili. Żona to mi pierścionek zaręczynowy chyba ze dwa albo trzy razy oddawała. Gdy więc dostaliśmy ten krzyż, zrobiliśmy sobie takie postanowienie, że codziennie – bo baliśmy się, co z tego naszego małżeństwa wyjdzie – będziemy wieczorem klękać przed tym krzyżem i się razem modlić, nawet jeśli będziemy skrajnie pokłóceni. A jeśli któreś z nas nie przyjdzie, będzie to znaczyło, że przyznaje się do tego, że ta kłótnia była z jego winy. Pokłóciliśmy się tydzień po ślubie. O lustro, które dostaliśmy. Ja powiedziałem, żeby powiesić je w przedpokoju – u normalnych ludzi lustro wisi przecież w przedpokoju. Ona uparła się, żeby to był pokój. Skończyło się na tym, że lustro o mało nie wyleciało przez okno. Wieczorem ja trach na dwa kolana z hukiem. I klęczę. Ona – nie wiem, jak to zrobiła – z jeszcze większym hukiem walnęła na dwa kolana obok mnie. I klęczymy. Ja zacząłem pobożnie: „W imię Ojca i Syna, jak mi dałeś, Panie Jezu, taką żonę, to daj mi też łaskę specjalną”. Ona powiedziała coś podobnego. Proszę księdza, ksiądz nie uwierzy. Myśmy się tam wtedy pokłócili pod krzyżem. A Jezus z rozwartymi ramionami mówił: „Dzieci kochane. Mieszkania jeszcze nie macie. Dopiero zaczynacie. Darujcie sobie”. I myśmy tak pod tym Jego spojrzeniem miękli. Ten krzyż nas uratował. Proszę księdza, ileż my przeżyliśmy wojen. Codziennie jednak, po dziś dzień, nie na długo, na trzydzieści sekund, może sześćdziesiąt, klękamy tu razem, żeby nas Pan Jezus przytulił.

Kiedy Bóg jest na pierwszym miejscu, wszystko jest na właściwym miejscu.

---

* Cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia (wyd. online).

Austin Distel/Unsplash

PRZYJAŹŃ

„Potem przyszedł do domu, a tłum znów się zbierał, tak że nawet posilić się nie mogli. Gdy to posłyszeli Jego bliscy, wybrali się, żeby Go powstrzymać. Mówiono bowiem: «Odszedł od zmysłów».

Natomiast uczeni w Piśmie, którzy przyszli z Jerozolimy, mówili: «Ma Belzebuba i przez władcę złych duchów wyrzuca złe duchy».

Wtedy przywołał ich do siebie i mówił im w przypowieściach: «Jak może szatan wyrzucać szatana? Jeśli jakieś królestwo wewnętrznie jest skłócone, takie królestwo nie może się ostać. I jeśli dom wewnętrznie jest skłócony, to taki dom nie będzie mógł się ostać. Jeśli więc szatan powstał przeciw sobie i wewnętrznie jest skłócony, to nie może się ostać, lecz koniec z nim. Nikt nie może wejść do domu mocarza i sprzęt mu zagrabić, jeśli mocarza wpierw nie zwiąże, i wtedy dom jego ograbi.

Zaprawdę, powiadam wam: wszystkie grzechy i bluźnierstwa, których by się ludzie dopuścili, będą im odpuszczone. Kto by jednak zbluźnił przeciw Duchowi Świętemu, nigdy nie otrzyma odpuszczenia, lecz winien jest grzechu wiecznego». Mówili bowiem: «Ma ducha nieczystego».

Tymczasem nadeszła Jego Matka i bracia i stojąc na dworze, posłali po Niego, aby Go przywołać. A tłum ludzi siedział wokół Niego, gdy Mu powiedzieli: «Oto Twoja Matka i bracia na dworze pytają się o Ciebie». Odpowiedział im: «Któż jest moją matką i którzy są braćmi?». I spoglądając na siedzących dokoła Niego, rzekł: «Oto moja matka i moi bracia. Bo kto pełni wolę Bożą, ten Mi jest bratem, siostrą i matką»”.

Mk 3, 20–35

Pewnie nieraz słyszeliście, że Biblia jest księgą pełną mądrości. Moglibyśmy nawet powiedzieć, że jest księgą genialną. Potrafi w jednym zdaniu opisać historię człowieka. W jednym zdaniu wyrazić jego tajemnicę.

Pismo Święte zaczyna się od historii Adama, który spożył owoc z drzewa i zerwał pierwotne przymierze z Bogiem Ojcem. Oddalił się od Niego, odciął łączącą go z Nim pępowinę, przez którą do tej pory pobierał miłość, wiedzę i dobroć Stwórcy. Adam okazał nieposłuszeństwo, brak zaufania. Został sam. Zawsze, kiedy człowiek odejdzie od Boga, zaczyna Go widzieć inaczej. Spotykam czasami różnych znajomych, kolegów sprzed lat, i kiedy któryś z nich już w trzecim czy czwartym zdaniu zaczyna najeżdżać na Kościół, to wiem, że jest on z jakiegoś powodu oddalony od Boga. Czasami przez romans, czasami przez pokręcenie życiowych dróg. Kościół przestaje zachwycać, kiedy przestaje się do niego chodzić. Znany jest powszechnie homiletyczny przykład z witrażami w świątyniach. Kiedy patrzy się na nie z zewnątrz, wydają się tylko czarną plamą, ale gdy wejdzie się do środka, stają się arcydziełami sztuki.

Im bardziej oddalamy się od Boga, tym bardziej Kościół wydaje nam się brzydki, podejrzany, tajemniczy.

Im bardziej oddalamy się od Boga, tym bardziej Kościół wydaje nam się brzydki, podejrzany, tajemniczy. Jak zareagował Adam, kiedy już po grzechu usłyszał głos Pana Boga? Przestraszył się. Jan Chryzostom mówił, że każdy kapłan, który głosi słowo Boże, walczy z szatanem, dlatego też powinien znać jego chwyty. To nie dotyczy tylko księży. Każdy z nas powinien poznać broń stosowaną przez szatana. Przede wszystkim jest to wzbudzanie wstydu i strachu. Właśnie dlatego Adam przestraszył się, kiedy

usłyszał Boży głos w raju. Przestał postrzegać Boga jako swojego ojca i przyjaciela, a zaczął jako tego, który coś ukrywa, czegoś mu nie daje. „To jak w końcu jest – mógł pomyśleć Adam – jestem tym Jego ukochanym dzieckiem czy nie jestem, skoro On coś przede mną ukrywa?” Tak zaczyna się lęk przed Bogiem.

Czy ja postrzegam Boga jako przyjaciela? Wielu ludzi chodzi do kościoła i śpiewa: „Tylko Tyś jest święty, tylko Tyś jest Panem”, a w głębi serca potwornie boi się Boga. Pewien pan bardzo nie lubił, gdy ktoś mu mówił: „Śniłeś mi się”.

– Śniłem ci się? A jak ci się śniłem? – pytał wtedy, bo bardzo wierzył w to, że w snach można usłyszeć głos Pana Boga. – Co ja w tym śnie robiłem? – dopytywał.

– No, byłeś chory, wiesz? Jakieś krosty miałeś.

– Matko, niedługo umrę.

On tak się bał Boga, że bał się snów. Zresztą nie tylko ich. Kiedyś na pewnych rekolekcjach siostry przygotowały na kartkach fragmenciki z Pisma Świętego, żeby każdy wylosował sobie jakiś cytat. On wylosował, ale bał się na niego spojrzeć. Lękał się, czy nie jest tam przypadkiem napisane: „A Judasz poszedł i się powiesił”.

„Niech Bóg nic do mnie nie mówi. Ja Mu dam na tacę, ja odmówię różaniec, tylko niech On nic do mnie nie mówi. Ja się Go boję”. Do tego strachu trzeba dołożyć ludzi, którzy podają w wątpliwość Bożą wszechmoc. Czy Bóg mógłby uzdrowić biedaków z onkologii na Ursynowie? Czy mógłby zrobić pola golfowe na Saharze? Czy mógłby wskrzesić wszystkich umarłych leżących na Powązkach? Skoro jest wszechmocny, to czemu tego nie robi? Podejrzany On jest.

Wróćmy do raju. Adam i Ewa chodzili po nim nadzy i byli piękni. Wszytko, co Bóg stworzył, było dobre. Przyszedł jednak szatan i zasiał

poczucie wstydu. Gdy pierwsi rodzice oderwali się od Pana Boga, cały świat, który do tej pory był dla nich przyjazny, stał się nagle zagrożeniem. Adam i Ewa zaczęli być z siebie niezadowoleni, ponieważ stali się perfekcjonistami, dążyli do bycia jak najlepszymi, by udowodnić Bogu, że do niczego nie jest im potrzebny. Bez Boga człowiek zaczyna wierzyć w to, że sam może się zbawić. Perfekcjonista nie pozwala sobie na słabość, a nagość jest słabością, odkrywa nas, odsłania. Właśnie dlatego powstały pierwsze ubrania z liści figowych – by się ukryć, zakryć swoją nieidealność. Człowiek zaczyna bawić się z Bogiem w chowanego.

„Chcesz się ze mną bawić w chowanego? To się pobawimy” – zdaje się mówić Pan Bóg. Jest cierpliwy, zniża się do ludzkiego poziomu. W przytoczonym fragmencie Ewangelii uczeni w Piśmie stawiają Panu Bogu absurdalny zarzut, twierdząc, że On mocą diabła wyrzuca diabła. Pan Bóg jest cierpliwy. Jezus siada i mówi: „Jak to? Co wy mówicie? Przecież gdyby diabeł sam siebie wyrzucał, to jego królestwo dawno byłoby już pokonane”. Jezus nie mówi: „Zadajecie durne pytania”, tylko siada i odpowiada im na te durne pytania.

Pamiętacie, co było, gdy Jezus przyszedł do łodzi świętego Piotra i chciał go powołać? On nie powiedział: „Piotrze, wiesz, buduję taki Kościół... On będzie trwał tysiące lat i ty będziesz papieżem. Będziesz mieszkał w Rzymie i będziesz pierwszym wśród biskupów całego świata”. Piotr nic by z tego nie zrozumiał. Właśnie dlatego Chrystus powiedział mu: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił”. I Piotr mógł pomyśleć: „A, no to już coś wiem”. Pan Bóg zniżył się do jego poziomu. On zawsze będzie chciał rozmawiać z tobą na takim poziomie, jaki sobie wybierzesz.

Co się wydarzyło, gdy Adam i Ewa ubrali się już w swoje liście figowe? Zaczęło się narzekanie, spychanie odpowiedzialności. „To ona dała mi owoc”. Jesteśmy świadomi naszych wewnętrznych i zewnętrznych

nieszczęść, naszych niskich samoocen, zranień, niedoskonałości, grzechów i nałogów. W ogromnej jednak większości szukamy winnych, zamiast wziąć za nie odpowiedzialność. „No, może i jestem dziki, ale moje dzieciństwo było takie, że nie mogę być inny. No, nie dostałem się na studia, ale nie miałem pieniędzy na korepetytorów. Przecież to nie moja wina, rodzice mogli ciężej pracować, żeby dać mi na nich pieniądze”.

Ludzie w ogóle mają niezwykłą skłonność do narzekania. Na okrągło znajdujemy w sobie mnóstwo defektów – waga, wzrost, objętość. Takie ciągłe narzekanie to wyraźny dowód na odcięcie się od Pana Boga.

Z ust jednego z księży usłyszałem kiedyś taki wierszyk:

„To za małe, to za duże,
też by chciała śpiewać w chórze
albo chociaż w jakiejś scholi,
a nie śpiewa, to ją boli”.

Jesteśmy świadomi naszych wewnętrznych i zewnętrznych nieszczęść, naszych niskich samoocen, zranień, niedoskonałości, grzechów i nałogów. W ogromnej jednak większości szukamy winnych,

zamiast wziąć za nie odpowiedzialność.

Niektórzy żyją tak jak bohaterka tego wiersza. To jest za duże, to za małe, to jestem za gadatliwa, to za milcząca, to jestem pracoholikiem, to leniem. Rozgoryczeni, szukający sensu schowani w swoim strachu.

> **Jeśli ktoś przestał wierzyć w Boga, to nie znaczy, że w nic już nie wierzy. To znaczy, że zaczął wierzyć w byle co.**

Jeśli ktoś przestał wierzyć w Boga, to nie znaczy, że w nic już nie wierzy. To znaczy, że zaczął wierzyć w byle co. Pamiętam, jak kiedyś, przejeżdżając samochodem przez Raszyn, słuchałem audycji radiowej. Pewna dziennikarka mówiła w niej, że każdy z nas ma swojego duchowego brata. Twierdziła, że gdy rodzi się człowiek, to gdzieś na sawannie w Afryce lub w australijskim buszu rodzi się zwierzę, które jest z tym człowiekiem w jakiś sposób połączone. Kiedy my w Warszawie chorujemy na grypę, to ono w tej Australii też kaszle. Kiedy my się cieszymy, to ono też ma tam dobre dni. Jednak nie daj Boże, żeby człowiek pojechał do Australii i spotkał to swoje zwierzę, bo jeśli spojrzą sobie w oczy, to będą się działy straszne rzeczy. Jeśli jednak nic takiego się nie stanie, to kiedy my będziemy umierać, nasze bratnie zwierzę w Afryce również umrze.

Gdybym kiedyś spotkał tę panią, zapytałbym ją: „Dawno pani była u komunii? Ile to już lat minęło, od kiedy zerwała pani z Kościołem?”. Jeśli człowiek przestaje wierzyć w Chrystusa, jego bóstwem często staje się

myślenie o tym, co powiedzą inni. Niejeden człowiek zapomniał już, jakie ma poglądy. Niejeden człowiek zapomniał już, czego tak naprawdę chce, bo bez przerwy pyta o to, co myślą inni. Niektórzy mają domy urządzone nie tak, jak by chcieli, tylko tak, żeby spodobały się gościom, którzy do nich zawitają. Czytają takie książki, żeby można się było nimi pochwalić, oglądają takie filmy, żeby inni docenili ich wybór. Co o mnie powiedzą? – to potężne bóstwo zatruwające wiele umysłów.

> **Proszę księdza, no dobrze. My przecież doskonale wiemy, żeby się od Boga nie oddzielać, bo człowiek wpadnie w tarapaty, gąszcz grzechów, kłamstw i iluzji. Ale skąd brać do tego siłę?**

Ktoś powie: „Proszę księdza, no dobrze. My przecież doskonale wiemy, żeby się od Boga nie oddzielać, bo człowiek wpadnie w tarapaty, gąszcz grzechów, kłamstw i iluzji. Ale skąd brać do tego siłę?”. Słowa uczą, przykłady pociągają. W jednym z tygodników ukazał się artykuł o małżeństwie Jima i Michelle Duggarów. Mieszkają w Ameryce i mają dziewiętnaścioro dzieci. Co ciekawe, żadne z nich nie jest aktorem, a kiedy patrzy się na ich zdjęcia, uderza to, jak nieprawdopodobnie są uśmiechnięci. To uśmiech, który jest albo szczery, albo wyuczony w wyniku wielu godzin ćwiczeń aktorskich. Innej możliwości nie ma.

Felix Rostig/Unsplash

Czy są szczęśliwi? Piszą, że tak. I to znajduje potwierdzenie w ich uśmiechu. Czy są bogaci? Nie, nigdy nie kupili nowego samochodu. Na co dzień dzieci uczone są skromności. Dziewczynki noszą uszyte przez siebie suknie i spódnice, a chłopcy długie spodnie. Większość kupowanych ubrań pochodzi ze sklepów z używaną odzieżą. Dla ułatwienia prania dzieci starają się nosić stroje w tych samych kolorach. Nie wydają również pieniędzy na fryzjera. Pieką własny chleb. Kupują ubrania z tkanin, które się nie gniotą, by uniknąć prasowania. Jedzą na papierowych talerzach, potrafią zrobić własny płyn do prania i mokre chusteczki higieniczne. Ale to nie sprawy materialne są fundamentem tej rodziny i jej szczęścia. Są nim zasady pochodzące od odważnego ojca i mądrej matki.

Naucz dzieci kochać Boga całą duszą, sercem i umysłem.

Pierwsza z nich jest najważniejsza. Naucz dzieci kochać Boga całą duszą, sercem i umysłem. Nie mamę, nie tatę. Naucz dzieci kochać Boga. To bardzo ważne zadanie, zwłaszcza dla tych, którzy są w relacji narzeczeńskiej. Nie ciesz się tak bardzo, kiedy widzisz, że twój chłopak naprawdę cię kocha, że biega za tobą, wiersze ci pisze, że jest gotów nosić cię na rękach. To jest piękne, to jest dobre, ale nie jest wystarczające. Czy on kocha Boga? Jeśli Go kocha, będzie świetnym mężem, jeśli nie kocha Boga, a tylko ciebie, sytuacja może odwrócić się o sto osiemdziesiąt stopni.

Naucz dzieci mieć usłużne serce, pokazując siebie jako przykład.

Druga zasada: naucz dzieci mieć usłużne serce, pokazując siebie jako przykład. Trzecia: ucz je codziennie cytatów z Biblii na pamięć i rozmawiaj z nimi na ich temat. Kolejna: módl się z dziećmi. Następna: proś Boga o pomoc w walce ze złością, która może zniszczyć waszą relację. I ostatnia: chwal dzieci dziesięć razy częściej, niż je krytykujesz.

Warto to powiedzieć zwłaszcza w kontekście zmniejszającego się przyrostu naturalnego w naszym kraju. To jest nie tylko problem kobiet, które potencjalnie mogą być matkami. To jest również problem facetów, którzy nie wlewają spokoju w serca swych partnerek. Nie dają im poczucia, że pomogą przy dziecku, choćby byli zawaleni robotą.

Warto to powiedzieć zwłaszcza w kontekście zmniejszającego się przyrostu naturalnego w naszym kraju. To jest nie tylko problem kobiet, które potencjalnie mogą być matkami. To jest również problem facetów, którzy nie wlewają spokoju w serca swych partnerek. Nie dają im poczucia, że pomogą przy dziecku, choćby byli zawaleni robotą. Jest to także kwestia opinii, jaką macierzyństwo ma w biurach, dziekanatach i w miejscach pracy. Niejedna kobieta panicznie boi się ciąży i urodzenia dziecka, bo nie chce usłyszeć od koleżanek: „No coś ty, w bachora się wpakowałaś?". Niejedna kobieta czuje wstyd, gdy zajdzie w ciążę, tak jakby zrobiła coś złego.

Pójdźmy dalej, jest to też wina księży, którzy nie potrafią przekonać ludzi, że droga rodzicielstwa jest piękną drogą miłości. Dlaczego nie umiemy wlać odwagi w ludzkie serca? Dlaczego w Polsce, tak oddanej Janowi Pawłowi II, ludzie boją się przekazywać miłość, dlaczego boją się mieć dzieci? To wszystko mówi całkiem sporo o naszym męstwie, naszej odwadze i o naszej bliskości, wzajemnej i z Panem Bogiem.

Wróćmy jeszcze na chwilę do przytoczonej Ewangelii. Ci uczeni w Piśmie nie byli przecież głupimi ludźmi. Czy więc nie jest podejrzane, że mówią do Jezusa takie bzdury? Że ma diabła w sobie i wyrzuca diabła? Diabeł wyrzuca diabła w imię diabła przeciwko diabłu? No przecież to bezsens. Tymczasem wyjaśnienie tej sprawy jest dość proste – jeśli człowiek czegoś nie chce, to będzie gadał największe głupoty, byleby tylko tego czegoś nie przyjąć.

Podobno na Śląsku jest takie powiedzenie: „Jak ktoś nie chce, to gorzej, niż jakby nie mógł". Jak ktoś się zaprze... To jest właśnie przypadek uczonych w Piśmie. Nie mieli pojęcia, jak skontrować Jezusa, dlatego powiedzieli: „On ma w sobie diabła". To nienawiść – bo oni nienawidzili Jezusa – prowadzi do takiej głupoty.

Czy wyobrażacie sobie sytuację, że w meczu z Grecją jakiś Polak strzeliłby bramkę, a stadion by go wygwizdał? Pięćdziesiąt pięć tysięcy Polaków gwiżdżących po strzeleniu gola? Powiecie – niemożliwe! Gdyby któremuś udało się strzelić bramkę, to wszyscy z radości skakaliby pod sufit. Tymczasem... Może panowie koło sześćdziesiątki będą pamiętać rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy. Mecz Polska – Portugalia. Portugalczycy wbili nam bramkę. Jest zero jeden, szansa na awans do mistrzostw świata w piłce nożnej zaczyna się oddalać. Cały stadion krzyczy: „Polska, Polska, wyrównajcie, Polska, wyrównajcie!”. Kazimierz Deyna, świeć Panie nad jego duszą, ustawia piłkę w rogu i strzela, trafiając w światło bramki, bezpośrednio z rzutu rożnego. To nieprawdopodobnie piękny gol, a mimo to cały stadion gwiżdże, zamiast się cieszyć. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi na stadionie Śląska gwiżdże po zdobyciu bramki przez Polskę. Tak nienawidzili Deyny. Tak go nie cierpieli. Nieważne, że to Polska strzeliła. Nieważne, że zremisowaliśmy. Nieważne, że awansowaliśmy na mistrzostwa. Ważne było tylko gwizdanie z nienawiści*.

Haydn Golden/Unsplash

Tu można znaleźć odpowiedź na pytanie, jak to się dzieje, że ludzie wybierają piekło. Z nienawiści robi się głupie rzeczy. Z nienawiści wybiera się piekło. Z nienawiści i ze złości.

Jeszcze raz przytoczę jedną z zasad, na których rodzina Duggarów oparła wspólnotę dwudziestu jeden osób, dziewiętnaściorga dzieci i dwojga rodziców – proś Boga o pomoc w walce ze złością, która może zniszczyć twoją relację z dziećmi. W złości żadnej roli nie odgrywają argumenty, nikt nikogo nie słucha, rządzi nienawiść i radość z porażki drugiej osoby.

Niech przytoczony fragment Ewangelii będzie dla nas zwierciadłem, w którym się przejrzymy. Pan Bóg ostrzega nas w nim przed błędami, prosi, byśmy nie stchórzyli i nie przestraszyli się Go, ale zawsze widzieli w Nim swego przyjaciela. Czy gdybym zobaczył Boga idącego po chodniku, przeszedłbym na drugą stronę ulicy, czy też, traktując Go jak przyjaciela, podbiegłbym się przywitać? Czy moje serce drży, gdy się do Niego zbliżam? Znalezienie odpowiedzi na te pytania, a potem wypracowanie w sobie tej drugiej postawy jest jedną z największych tajemnic wiary.

---

* Powodów owej nienawiści mogło być wiele. Najprawdopodobniej najistoniejszym z nich był fakt, że Kazimierz Deyna reprezentował znienawidzony przez znaczną część polskich kibiców wojskowy klub Legia Warszawa. Jej działacze stosowali wtedy dość nietypowy i nieprzyjemny dla pozostałych drużyn piłkarskich w kraju sposób pozyskiwania nowych wyróżniających się graczy – gdy dostrzegali w którymś z klubów obdarzonego talentem zawodnika, powoływali piłkarza do wojska, by postawić go w nim przed wyborem: albo uciążliwa służba w mudurze, albo gra w stołecznym klubie. Taki sposób postępowania nie mógł podobać się kibicom pozostałych drużyn piłkarskiej czołówki kraju, które niejednokrotnie traciły swoich najlepszych zawodników (przyp. red.).

Guillaume de Germain/Unsplash

ZAUFANIE

> „Gdy Jezus to usłyszał [o śmierci Jana Chrzciciela], oddalił się stamtąd w łodzi na miejsce pustynne, osobno. Lecz tłumy zwiedziały się o tym i z miast poszły za Nim pieszo. Gdy wysiadł, ujrzał wielki tłum. Zlitował się nad nimi i uzdrowił ich chorych.
>
> A gdy nastał wieczór, przystąpili do Niego uczniowie i rzekli: «Miejsce to jest puste i pora już spóźniona. Każ więc rozejść się tłumom: niech idą do wsi i zakupią sobie żywności». Lecz Jezus im odpowiedział: «Nie potrzebują odchodzić; wy dajcie im jeść!». Odpowiedzieli Mu: «Nie mamy tu nic prócz pięciu chlebów i dwóch ryb». On rzekł: «Przynieście Mi je tutaj!». Kazał tłumom usiąść na trawie, następnie wziąwszy pięć chlebów i dwie ryby, spojrzał w niebo, odmówił błogosławieństwo i połamawszy chleby, dał je uczniom, uczniowie zaś tłumom. Jedli wszyscy do sytości, i zebrano z tego, co pozostało, dwanaście pełnych koszy ułomków. Tych zaś, którzy jedli, było około pięciu tysięcy mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci”.
>
> **Mt 14, 13–21**

W rozmowach z różnymi osobami spotykam się z bardzo powszechnym chyba, jeśli chodzi o życie religijne, doświadczeniem – ludzie nie czują się ważni w oczach Pana Boga. W ogóle mamy problem z „byciem ważnym” dla kogoś. Nawet trudno się temu dziwić. Jeśli mały chłopiec nie czuł się ważny dla swojego ojca, to już nigdy nie będzie się czuł ważny. Wielu ludzi przenosi elementy swojej relacji z tatą na relację z Bogiem – „Skoro dla taty nie byłem ważny, nie będę też ważny dla Boga”.

Czy rzeczywiście tak jest? Odpowiedź możemy znaleźć w przytoczonym fragmencie Ewangelii według świętego Mateusza. Mówi

on o śmierci Jana Chrzciciela, który zapowiadał Jezusa i który oddał dla Niego życie. Został stworzony, żeby żyć dla przychodzącego Mesjasza. To był żołnierz, który od samego poczęcia był w stanie wojny, od poczęcia stał na straży. Jego radykalizm był nieprawdopodobny. Pamiętacie? Mieszkał na pustyni, jadł szarańczę i miód, nosił odzienie z sierści wielbłądziej. Wszystko dla Chrystusa.

Teraz zwróćmy uwagę na to, jak Jezus traktował Jana. Powiedział, że „między narodzonymi z niewiast nie powstał większy od Jana Chrzciciela". Z drugiej strony jednak Jezus odnosił się do Jana z wielkim dystansem i powściągliwością. Byli rodziną, a w zasadzie spotkali się tylko kilka razy, w tym ten pierwszy jest lekko naciągany, bo miał miejsce w czasie odwiedzin Maryi u Elżbiety, kiedy obaj byli jeszcze w łonach swoich matek. Nie widzieli się wtedy z oczywistych przyczyn, ale Jan wyczuł obecność Mesjasza i dał temu wyraz – „poruszyło się dzieciątko w jej [Elżbiety] łonie".

Drugi raz Jezus i Jan Chrzciciel spotkali się nad Jordanem. Jan powiedział, że nie jest godzien, aby Go ochrzcić, a Chrystus odparł mu na to: „Tak godzi się nam wypełnić wszystko, co sprawiedliwe". Koniec, żadnej rozmowy, żadnego: „Janie, witaj. Usiądź, napijemy się herbaty. Co tam u ciebie słychać?". Krótka żołnierska rozmowa.

Następne ich spotkanie miało miejsce, kiedy Jan stał ze swoimi uczniami przy drodze, a Jezus przeszedł obok nich. Nawet się do Jana nie odezwał, mimo że paru Janowych uczniów poszło za Nim. Innym razem Jan wysłał do Chrystusa posłańców z pytaniem: „Czy Ty jesteś Tym, który ma przyjść, czy też innego mamy oczekiwać?". Prawdopodobnie zrobił to, chcąc sprowokować Jezusa do jasnej deklaracji. Pamiętacie, jak brzmiała odpowiedź? „Idźcie i oznajmijcie Janowi to, co słyszycie i na co patrzycie: niewidomi wzrok odzyskują, chromi chodzą, trędowaci doznają

oczyszczenia, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim głosi się Ewangelię”. Żadnej czułości, żadnego gestu. Nic. Oschłość.

Jezus pozabierał Janowi uczniów. Nie przyłączył go do grona apostołów, a przecież Jan byłby świetnym apostołem. Taki radykalizm, taka wiara, taka ufność. A Jezus mówi: „Nie, Janie. Ciebie nie powołam. Powołam Judasza”. Ilu z nas, będąc na miejscu Jana, powiedziałoby: „Jak tak można, Panie Jezu? Ja Ci tak wiernie służę. Wybrałeś dwunastu innych, a mnie nie”.

Boża logika. Jan oddał za Chrystusa życie. „Dlaczego, Panie Jezu, tak oschle go potraktowałeś? Dlaczego go nie odwiedziłeś?”

Te same uczucia i myśli mamy niejednokrotnie względem Boga. Dlaczego jest taki powściągliwy? Dlaczego nas nie pocieszy? „Ja chodzę do kościoła. Modlę się żarliwie od lat. Tyle spowiedzi odbyłem, żeby dał mi jakąś radość. Czy ja naprawdę jestem Mu obojętny?” Popatrzcie, jak Jezus reaguje, kiedy dowiaduje się, że Jan został zamordowany. Oddalił się na miejsce pustynne, chciał być sam. Wyobraźcie sobie, że jesteście w biurze, siedzicie z koleżankami czy kolegami z pracy, gdy nagle ktoś wpada i mówi: „Krzysiek z księgowości nie żyje”. Nawet jeśli Krzysiek miał nowotwór i wszyscy w jakimś stopniu spodziewali się tej śmierci, to i tak bylibyście smutni. Gdyby w tej sytuacji jedna kobieta wstała i poprosiła: „Szefie, proszę mnie zwolnić do domu. Ja dzisiaj nie dam rady pracować”, wszyscy powiedzielibyście: „Kurczę, ale go kochała. Była z nim aż tak związana?”. Taka reakcja – odejście, niemożność pracy, przerwanie misji – musi oznaczać, że był to ktoś bardzo ważny.

Na pewno wielu z was, dowiedzawszy się o śmierci przyjaciela, sąsiada czy krewnego, powiedziało: „Zostawcie mnie wszyscy w spokoju. Chcę być sam”. Jezus po śmierci Jana zrobił to samo. „Zostawcie mnie wszyscy. Chcę być sam. Zginął mój przyjaciel”.

Uwierz mi, że Jezus, okazując ci swoją oschłość, traktuje cię tak jak Jana. Kocha, ale jest powściągliwy, żeby prowadzić cię do góry. On jest zawsze piętro wyżej niż my, nieustannie ciągnie nas do góry, rozwijając nasze życie duchowe. Pewnie dlatego nieraz brakuje nam „tych uczuć” w kościele, nie ma „tych uczuć” w trakcie spowiedzi czy przy lekturze Pisma Świętego.

Chłopak zabrał swoją dziewczynę w góry. Wspinają się na jakiś szczyt, wiszą na ścianie. On jest trochę wyżej, wbija haki, a ona trzy metry niżej buja się na linie i czeka. Zmarzła już, mięśnie bolą. On patrzy na nią z góry i pyta:

– Co tam?

– Przytuliłabym się do ciebie.

– Ale masz wymagania w tym momencie. Jak wejdziemy na szczyt, to się przytulimy.

Teraz wisisz na linie z Jezusem. Może Go nie czujesz, ale nic w tym dziwnego. Nie ma Go na twoim poziomie, jest wyżej i wbija kołki, byś mógł się łatwiej wspiąć do nieba.

Olejną farbą możecie sobie to zapisać na ścianie. Jak wejdziemy na szczyt, to się przytulimy. Teraz wisisz na linie z Jezusem. Może Go nie czujesz, ale nic w tym dziwnego. Nie ma Go na twoim poziomie, jest wyżej i wbija kołki, byś mógł się łatwiej wspiąć do nieba. On ciągnie cię do góry. Zacznij myśleć sercem. Odejdź od świata. Nie szukaj ludzkich pocieszeń. I dotrwaj do końca, bo to, co najlepsze, jest dopiero na samym szczycie.

Kilka lat temu jechałem na wakacje w góry. Ktoś mi powiedział: „Słuchaj, odwiedź Krynicę Górską. Ale uprzedzam cię, że to już nie jest uzdrowisko dla korzystających z wczasów pracowniczych. To się taki europejski kurort zrobił”. Wracając z Zakopanego, skręciłem więc na Nowy Sącz. „Pojadę na dwa dni do Krynicy Górskiej – pomyślałem. – Pochodzę sobie z miną Europejczyka po tej europejskiej Krynicy Górskiej”. Pierwszego dnia nastała pora obiadowa. Pomyślałem sobie, że jak już się jest w tej Krynicy, trzeba zaszaleć. Poszedłem do luksusowej restauracji – luksusowa kelnerka, luksusowe *menu*. Ja robię luksusowe miny. Nazwy dań zapisane po francusku, po angielsku, ni w ząb nie rozumiem, co oznaczają. W końcu dostrzegłem, że przy jednej pozycji było napisane słowo „grill”. Myślę: „Mięcho, będzie dobre. Czterdzieści złotych? Raz się żyje!”, i mówię: „Niech pani da to danie”. Robię eleganckie miny, czekam, czekam, przychodzi kelnerka i podaje mi niewielki talerz, na którym leży troszkę usmażonego mięsa. Do tego ładna bułeczka, ogóreczek. Powiedziała „smacznego” i poszła. „Cztery dychy za takie skwareczki?” – pomyślałem. W normalnej restauracji powiedziałbym pewnie: „Proszę pani, to jest przesada. No, za takie pienią...”, ale byłem przecież w europejskiej restauracji, a Europejczycy być może tyle płacą za takie skwarki. Zjadłem. Nawet były dobre. Popiłem colą, mówię do kelnerki, że chciałbym zapłacić. Czterdzieści złotych zainkasowała. „Do widzenia pani, dziękuję”. A ona zdziwiona pyta:

– A pan nie będzie jadł?

– Zjadłem przecież przed chwilą.

– Ale nie, to była przystawka. To serwujemy wszystkim klientom. Pan rezygnuje z dania?

Europejczyk usiadł z powrotem. Nie wyszedł mi ten *high life*. Po chwili na mój stół wjechał taki talerz, że pracowałem nad nim trzy kwadranse.

Wielu ludzi mówi mi tak: „Przestanę się już chyba modlić, przestanę chodzić do spowiedzi, bo to nie ma sensu. Przestanę już chyba pracować duchowo, bo tyle lat się starałem, a Bóg dalej milczy”. Naprawdę? Chcesz odejść po przystawce? Nie poczekasz na danie główne? Zapłaciłeś za nie kolosalne pieniądze. Restauracja jest luksusowa. Ale to, co dostajemy tutaj, na ziemi – nasze rozumienie Boga, nasze emocje w kościele – jest zaledwie przystawką. Danie główne dopiero przyjdzie.

Wielu ludzi mówi mi tak: „Przestanę się już chyba modlić, przestanę chodzić do spowiedzi, bo to nie ma sensu. Przestanę już chyba pracować duchowo, bo tyle lat się starałem, a Bóg dalej milczy”. Naprawdę? Chcesz odejść po przystawce?

Jezus szukał samotności na pustkowiu z jeszcze jednego powodu. Śmierć Jana przypomniała mu, że On też niedługo zginie. Jan był jego poprzednikiem, uczniem. Skoro jego zamordowali, czyż Mistrza nie czeka to samo? Są takie sytuacje w życiu, kiedy ktoś wie, absolutnie wie, że czeka

go coś niedobrego. Operacja, stwierdzony nowotwór. Człowiek żyje ze świadomością, że już w przyszłym tygodniu będzie przechodzić bardzo ciężki zabieg, na przykład przeszczep serca albo wątroby. O czymś takim myśli się dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tylko czasami coś potrafi nas na chwilę od tego oderwać. Film w telewizji, przyjemne spotkanie, które sprawia, że na piętnaście minut zapominamy o naszej chorobie.

Pewien pan opowiadał mi kiedyś, że przyszli do niego goście, a on czekał właśnie na poważną operację. Wypili po kieliszku, zaczęli gadać, wygłupiać się, czas bardzo przyjemnie im mijał. Gospodarz był tak zadowolony z ich wizyty, że zapomniał o zabiegu. Z uśmiechem na ustach zbierał naczynia ze stołu, kiedy żona, która nie miała złych zamiarów, powiedziała: „Kochanie, jutro poniedziałek. Kupię ci piżamę do szpitala". Nagle ten ból serca, to spięcie całego organizmu, ta ciemność przed oczami... „Aha, tak. Operacja". Kiedy Jezusowi powiedzieli: „Jan Chrzciciel został zamordowany", On na pewno od razu zobaczył czekający Go krzyż. Dlatego powiedział: „Chcę być sam".

> **Często mamy chęć, aby schować się i przeczekać po grzechu. „Oj, ale narozrabiałem. To przycupnę teraz trochę. Lepiej nie będę się odzywał".**

Po ludzku ktoś mógłby powiedzieć, że Jezus się przestraszył. Jest w tym trochę prawdy, bo On bał się cierpienia. Bał się gwoździ rozdzierających Mu dłonie i stopy. Bał się bicza, który będzie miażdżył Mu ciało. Przezorni powiedzieliby, że teraz, kiedy wrogowie Chrystusa zabili Jana, dobrze byłoby, gdyby Pan Jezus na chwilę przestał nauczać. „Wiesz, Jezu, niech się troszkę uspokoi, bo po tym morderstwie Jana demony poczuły się pewniej.

Usuń się na chwilę na bok. Niech sprawa trochę przycichnie, przeczekajmy ten szum”. Co robi Jezus? Czy stosuje się do takich rad? Wręcz przeciwnie! Wraca z pustyni, patrzy na pięć tysięcy głodnych ludzi i sprawia cud. Wie, że to się rozejdzie po całej okolicy, dojdzie do faryzeuszów w pałacu Heroda. Ma fantazję. „Niech wszyscy widzą moją moc. Niech wszyscy mówią o Mnie”. To jest wielkość.

Lauren Lulu Taylor/Unsplash

Często mamy chęć, aby schować się i przeczekać po grzechu. „Oj, ale narozrabiałem. To przycupnę teraz trochę. Lepiej nie będę się odzywał”. Pamiętam taką historię małżeńską: jeden pan przesadził z alkoholem na pewnym przyjęciu i zachowywał się mało wyszukanie. Obudził się w niedzielę rano i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się stało, że jego wina była wielka. Wykąpał się, ubrał, poszedł do spowiedzi. Wrócił, żona się oczywiście nie odzywa. On powiedział wtedy mniej więcej tak:

Męskość polega na odnoszeniu zwycięstwa moralnego w każdych okolicznościach. Możemy być zaplątani w straszne sytuacje, ale z każdej z nich można wyjść.

– Wiem, że szykują się ciche dni za to, co wczoraj zrobiłem. Zasłużyłem na karę. Byłem u spowiedzi. Bóg mi przebaczył. Nałożyłem sobie pokutę: przez rok nie będę pił alkoholu. Przepraszam cię. Uklęknę teraz i pocałuję cię w ręce. Ale ty mnie teraz kochaj, bo ja jestem dobrym mężem, który po prostu miał wpadkę. I żadnych cichych dni, rozumiesz? Przepraszam cię za wszystko, całuję cię po rękach, nakładam na siebie pokutę, a ty masz mnie kochać. I żadnych cichych dni. Żeby dzieci nie widziały naszych dąsów.

– Wiesz, ja cię kiedyś zabiję – odpowiedziała ona, siadając obok niego na wersalce.

– Kalkulowałem to. Totalnie ci się nie opłaca.

Awanturę trzeba zrobić najpierw diabłu, dopiero później mężowi.

Ona jeszcze do obiadu była spięta, ale potem zrozumiała. Pamiętajcie, panowie, męskość polega na odnoszeniu zwycięstwa moralnego w każdych okolicznościach. Możemy być zaplątani w straszne sytuacje, ale z każdej z nich można wyjść. Zwrócić, przeprosić, wyspowiadać się, podjąć pokutę, ucałować czyjeś ręce... Głowa do góry. Panie z kolei niech pamiętają, że awanturę trzeba zrobić najpierw diabłu, dopiero później mężowi. I niech nie będzie tak, że ten ostatni potem co miesiąc będzie dostawał po głowie za to, co kiedyś zrobił.

Kłótnia jest zawsze czymś, co oddala nas od Boga. Czy więc na pewno chcemy, żeby jedno upicie się (podkreślam: jedno, nie mówię tu o alkoholizmie), które się komuś zdarzyło, odłączyło nas od Boga? Czy przez to, że się pokłóciłem, że dałem plamę, że się skompromitowałem, mam teraz zrezygnować z Boga? Mam się wycofać? Nie, ja będę zwyciężał! Szatan chciał zastraszyć Jezusa, chciał, żeby Ten się schował, przycupnął gdzieś z obawy przed śmiercią, ale Jezus idzie i wykręca diabłu numer. Sprawia, że wszyscy o Nim mówią.

Nie dajmy się szatanowi, awanturujmy się z nim!

Nas wszystkich szatan chce uciszyć. Chce, byśmy przycupnęli i zrezygnowali z Boga. Trzeba powiedzieć: „Nie! Nie będę siedział cicho, ja właśnie zrobię awanturę”. W filmie *Braveheart* bohater mówił, że nie ma pojęcia, co robić, ale na wszelki wypadek zrobi awanturę. Właśnie taka postawa jest tu potrzebna. Nie dajmy się szatanowi, awanturujmy się z nim! Jestem pewien, że wtedy „ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani

Zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani Moce, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiekolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym". Ani teściowa, ani pięć kilo nadwagi, ani pypeć na nosie, którym się przejmujesz, ani nałóg masturbacji nie odłączą cię od Boga. Nic nie odłączy mnie od Boga!

Cokolwiek dziecko zrobi, rodzic będzie z nim do końca życia. Bóg zachowuje się tak samo. Choćbyś zawinił, On nigdy się ciebie nie wyprze. Ktoś powie, że to szaleństwo. Być może, ale taka jest Boża miłość.

Życie jest jak pas startowy na lotnisku. Gdyby ktoś z was wjechał tam samochodem, mógłby zakosztować przyjemności prowadzenia po rewelacyjnej drodze. Mógłby rozpędzić się, jechać sto, sto pięćdziesiąt, dwieście kilometrów na godzinę. Jednak tylko idiota rozpędzałby się na pasie startowym do takiej prędkości, bo każdy wie przecież, że pas kończy się nagle ogrodzeniem. Ten, kto chciałby uzyskać tam prędkość dwustu kilometrów na godzinę, zginie. No chyba że przesiądzie się do samolotu. Samolot może jechać po pasie startowym dwieście i trzysta kilometrów na godzinę, dlatego że w pewnym momencie podnosi się i mija ogrodzenie górą. Tak samo jest z nami. Zachwycają nas piękne kobiety, telewizory, forsa, świat. Mnie też zachwycają. To nas rozpędza i nie ma w tym nic złego, o ile w odpowiedniej chwili podbijemy maszynę, by polecieć do Boga. Jeśli tego nie zrobimy, zostaniemy na Okęciu, będziemy siedzieć w restauracji i nigdy nigdzie nie polecimy.

Nie zasypiajcie w lotniskowej poczekalni!

Katolicy często sprawiają wrażenie ludzi

śpiących. Tak bardzo boimy się pomyłki, że nieraz wolimy nic nie robić.

Nie zasypiajcie w lotniskowej poczekalni! Katolicy często sprawiają wrażenie ludzi śpiących. Tak bardzo boimy się pomyłki, że nieraz wolimy nic nie robić. Tymczasem tak już jest w życiu, że jeśli podejmujemy jakąś aktywność, to zawsze możemy się pomylić, zawsze coś może pójść nie tak. Pamiętam, że kiedy byłem w seminarium, chyba na drugim roku, nachodziły mnie wątpliwości, czy powinienem zostać księdzem. Ktoś mi wtedy powiedział: „Wiesz, idź do księdza Bozowskiego. To taki charyzmatyk, on z tobą pogada". Poszedłem, przyjął mnie elegancko. Mówię:

– Ojcze, nie wiem, czy iść do tego kapłaństwa, bo świat kusi. Jedna dziewczyna, spotkałem ją kiedyś na ulicy, moja koleżanka, sprawiła, że wróciły te różne myśli.

On mnie wysłuchał i dał jasno do zrozumienia, żebym nie robił tragedii. Człowiek już taki jest, że mu się różne rzeczy podobają, różne rzeczy go nęcą. Nigdy się tego nie wyzbędziemy. To nie jest tak, że ksiądz w momencie święceń nagle traci wrażliwość na kobiece piękno. Chodzi o to, żeby w odpowiednim momencie poderwać samolot i polecieć prosto do Chrystusa.

To jest szaleństwo. Religia to nie matematyka. Dwa grzechy minus trzy różańce, pomnożone przez cztery umartwienia, pierwiastek z grzechu wczorajszego, no, mam szansę. Chrześcijaństwo to szaleństwo. W historii duchowości, zwłaszcza duchowości wschodniej, pojawia się termin „Boży idiota". My nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni, dlatego że przez wieki Kościół stał się miejscem, w którym ludzie budowali swoją wielkość. Pomyślcie o wyglądzie naszych kościołów sprzed stu, dwustu, trzystu lat.

Plebs stał daleko. Z przodu były kolaski dla hrabianek, dalej siedzieli dobrodzieje. Każdy przychodził, robił mądrą minę. Zresztą dzisiaj zostało nam troszeczkę z tej mentalności. „Ja chodzę na mszę świętą tylko do wizytek”, „ja słucham tylko dominikańskich kazań”, „wiesz, ja słucham tylko tego ojca profesora habilitowanego, on ma kazania na poziomie”.

Religia to nie matematyka. Dwa grzechy minus trzy różańce, pomnożone przez cztery umartwienia, pierwiastek z grzechu wczorajszego, no, mam szansę. Chrześcijaństwo to szaleństwo.

Przyzwyczailiśmy się do tego, że do dobrego tonu należy iść w niedzielę do kościoła, stać ładnie, ładnie się ubrać – to sprawia, że czujemy się po ludzku wielcy. Gdyby tak jednak przyszli święci i zobaczyli, jak zachowujemy się w kościele, wyśmialiby nas za te nasze mądre pozy. Bo chrześcijanin po części, a nawet może nie po części, tylko w zupełności, jest idiotą.

Proszę się nie gniewać, taka jest prawda. Niektórzy z was mają wyższe wykształcenie, jesteście rozsądnymi ludźmi, a przecież, na litość Boską, na

mszy klękacie przed białym chlebkiem. Zastanawialiście się kiedyś nad tym? Potem ja z tym białym chlebkiem przechodzę przez kościół i kładę wam go na język. Wy zamykacie oczy i robicie poważną minę. Zwariowaliście? Albo inny przykład: przynosicie swoje dzieci do kościoła, a my, księża, polewamy je wodą z buteleczki. Wy się na tę okazję odświętnie ubieracie. Co więcej, czytamy na mszach w kółko jedną i tę samą książkę. Ja ją jeszcze całuję. Przecież to jest wariactwo. Totalna głupota. Warto byłoby mszę świętą zaczynać od słów: „Pan z wami, wariatami". „I z duchem twoim, idioto". I nie ma tu powodu do obrazy. Dobry chrześcijanin jest dla świata głupi.

Co świat mówił Papieżowi? „Janie Pawle, zmień tę naukę o antykoncepcji. Przecież Kościół jest zaściankowy, Kościół jest idiotyczny, Kościół jest bezsensowny". Czy wy też słyszycie takie określenia? Powiedzcie w pracy, że chcecie żyć po chrześcijańsku. „Gośka, czyś ty zwariowała? Różaniec odmawiasz? Chcesz mieć pięcioro dzieci? Co ty, jesteś chora? Latasz do kościoła. Naprawdę? Jesteś nienormalna?"

Tak było od samego początku. Pamiętacie pierwszy zarzut, jaki postawiono Jezusowi? Trzeci rozdział Ewangelii świętego Marka – postradał zmysły, zwariował. Przyszli do Niego krewni i mówili: „Uspokój się. Co Ty robisz? Czego Ty nauczasz? Błogosławieni, co płaczą, błogosławieni słabi? To ma być nauka?". Do was krewni nie przychodzili? Ciotka nie mówiła: „Gosiu, nie chodź na tę pielgrzymkę. Znalazłabyś sobie jakiegoś mężczyznę poważnego, bo przy tym kościele to się tylko wiatraki kręcą. Zajmij się swoim życiem, bo zmarnujesz je na tych rekolekcjach. Jeździsz po tych kościołach i jeździsz, a lata lecą"?

Warto byłoby mszę świętą zaczynać od słów: „Pan z wami, wariatami”. „I z duchem twoim, idioto”. I nie ma tu powodu do obrazy. Dobry chrześcijanin jest dla świata głupi.

Tak więc wariactwo jest wpisane w naszą wiarę. Święty Franciszek, jeden z największych świętych Kościoła, rozebrał się na początku swojej misji. Co tu dużo gadać, siał publiczne zgorszenie. Doszło to tego, że biskup musiał okrywać go swoim płaszczem. Boży szaleńcy zawsze kontestują ogół.

Szaleństwo jest darem Ducha Świętego. Wiecie, pod jaką nazwą skrywa się ten dar? To dar mądrości.

Szaleństwo jest darem Ducha Świętego. Wiecie, pod jaką nazwą skrywa się ten dar? To dar mądrości. Jeśli jesteś mądry po Bożemu, to dla świata będziesz głupi. Jeśli jesteś mądry dla świata, to jesteś głupi dla Chrystusa. Tak to wygląda. Zanim Noe zaczął budować arkę, przez sto dwadzieścia lat mówił ludziom, że będzie potop. Oni pukali się w głowę. Liczmy się z tym, że gdy prawdziwy chrześcijanin buduje swoją arkę, ludzie będą się pukać w głowę.

Po czym się poznaje, że ktoś jest prawdziwie szaleńcem Bożym? Po posłuszeństwie Kościołowi, po pokorze i po owocach. W szesnastym wieku w Rosji żył Bazyli błogosławiony. Chodził nago, a żeby zachować resztki przyzwoitości, miał sięgającą do ziemi brodę, która zakrywała newralgiczne miejsca. Chodził po wsiach i całował domy, w których odbywały się pijackie orgie, ponieważ widział, jak krążą wokół nich płaczące anioły. Zapalał świece i śpiewał hymny na zgliszczach spalonych przez carską policję domów prostytutek, a je same okadzał kadzidłem, ogłaszając, że będą pierwsze na drodze do królestwa niebieskiego. Cerkwie często opluwał, by wypędzić mieszkające w nich złe duchy. Ludzie pukali się w głowę, a on wcale nie był głupi. Zaraz po jego śmierci zaczęto budować kościoły na jego cześć.

Co się jednak stanie, kiedy ktoś przed posiłkiem powie: „W imię Ojca i Syna, pobłogosław, Panie Boże, ten posiłek…”? Wariat! Żegna się! Ludzie, to nie wariat, on ma komórkę. Wszczepioną w serce stałą łączność z Chrystusem, darmowe esemesy.

Teraz się już przyzwyczailiśmy, ale jeszcze niedawno, na początku ery bluetoothów i zestawów słuchawkowych, gdy widzieliśmy idącego ulicą faceta, który do siebie gadał, mówiliśmy: „wariat”. Nie, nie wariat. On rozmawiał przez komórkę. Dzisiaj, gdy widzimy siedzącego w samochodzie gościa, który śmieje się i gada do kogoś, mimo że jest sam, nikogo to nie dziwi. Co się jednak stanie, kiedy ktoś przed posiłkiem powie: „W imię Ojca i Syna, pobłogosław, Panie Boże, ten posiłek…”? Wariat! Żegna się! Ludzie, to nie wariat, on ma komórkę. Wszczepioną w serce stałą łączność z Chrystusem, darmowe esemesy.

Nie dziwmy się ludziom, którzy się modlą, którzy godzinami adorują. To nie siostry wizytki, które zamknęły się na dobrowolne dożywocie, zwariowały. To ci, którzy chodzą dookoła i bez przerwy liczą, liczą, liczą, pragną, liczą i gubią się w tym wszystkim, zwariowali.

W wielu przypadkach Kościół i religia stały się synonimem porządku, sensu, ładu. Tymczasem na niektórych starych obrazach Bóg jest malowany jako tańcząca Trójca Święta. Bóg tańczy. Święci niejednokrotnie też byli malowani w tańcu, bo prawdziwy chrześcijanin jest człowiekiem tańca. Wprawdzie nasza liturgia na razie go nie przewiduje, ale kto wie, co będzie w przyszłości.

Kiedyś u sióstr franciszkanek za Zamościem poznałem tańczącą zakonnicę, która tak rozkręciła setkę młodzieży, że nie wierzyłem temu, co widziałem. Gdy nas sobie przedstawiono, ona powiedziała: „Droga młodzieży, będziemy tańczyć”. Ja podszedłem do niej i szepnąłem: „*Sister*, co ty wymyślasz? Gdzie ci młodzież będzie tańczyć?”. Pół godziny później stałem z rozdziawioną buzią. Tańce irlandzkie, tańce żydowskie, tańce polskie. Pamiętacie? Dawid zaczął tańczyć przed Arką, a jego inteligentna żona powiedziała:

– Ale jesteś śmieszny, wiesz?

– Choćbym się miał ośmieszyć przed całym Izraelem, będę tańczył przed Panem Bogiem.

Chrześcijanin jest szaleńcem i właśnie o szaleństwie Pana Jezusa mówi przytoczony fragment Ewangelii. Grozi Mu śmierć, a ten karmi pięć tysięcy mężczyzn. Nikt nas nie odłączy od miłości Chrystusowej. Możecie się śmiać, możecie mi zazdrościć, możecie mnie niszczyć. Szatanie, możesz mnie atakować, ale ja będę wracał do Chrystusa. W Kościele trzeba nam Bożego szaleństwa. Tego nie ogarnie się logiką i ludzkim umysłem. W szaleństwie swoim pragnijmy pełnej radości i pełnego pokoju w Chrystusie.

Andre Hunter/Unsplash

SZCZĘŚCIE

> „Przynosili Mu również dzieci, żeby ich dotknął; lecz uczniowie szorstko zabraniali im tego. A Jezus, widząc to, oburzył się i rzekł do nich: «Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy królestwo Boże. Zaprawdę, powiadam wam: Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego». I biorąc je w objęcia, kładł na nie ręce i błogosławił je”.
>
> **Mk 10, 13–16**

Kiedy mówimy o powołaniu, mamy wrażenie, że dotykamy czegoś majestatycznego i tajemniczego – on ma powołanie, ona ma powołanie, zmarnował powołanie, umocnił powołanie. Choć tak naprawdę każdy człowiek jest do czegoś powołany, automatycznie łączymy to hasło z życiem kapłańskim albo zakonnym. Jeśli powiemy: „On ma powołanie”, to raczej nie pomyślimy w pierwszej chwili o powołaniu do życia rodzinnego. Ucieka nam, że każdy, kto jest powołany do bycia ojcem lub matką, realizuje Boży zamysł równie dobrze i pięknie jak ci, których zalicza się do stanu duchownego.

Duszpasterzowanie ludzi świeckich jest niekiedy o wiele skuteczniejsze niż to realizowane przez nas, kapłanów.

Na czym polega powołanie do życia w rodzinie? Na sakralizacji ziemskiej rzeczywistości. My, księża, mamy odprawiać mszę, głosić słowo, prowadzić różne formy duszpasterstwa, a wy macie zmieniać świat na lepszy – w bankach, biurach, na ulicy, w samochodach i autobusach. Myślę,

że wszyscy doskonale wiedzą, że duszpasterzowanie ludzi świeckich jest niekiedy o wiele skuteczniejsze niż to realizowane przez nas, kapłanów. Bardzo często ludzie mówią: „Ksiądz tak mówi, bo ksiądz musi tak mówić. To jest księdza zawód i firma tak wymaga. Tymczasem świeccy są ludźmi «takimi jak ja» i dużo łatwiej jest ich wysłuchać”.

Wiemy więc już, że powołanie dotyczy też ludzi świeckich i jest ono równie ważne jak powołanie duchowieństwa. W naszym społeczeństwie utarło się, niestety, mylne postrzeganie świeckich i kleru jako przedstawicieli dwóch zupełnie różnych lig. Zupełnie jakby istniała między nami jakaś przepaść. Przypominam sobie sceny z filmu *Chłopi*. Tam jeden z chłopców ze wsi wstąpił do seminarium. Gdy jako kleryk przyjeżdżał na wakacje do domu, a chodził już w sutannie, z brewiarzem, wydawał się oddzielony od swoich rówieśników, z którymi jeszcze niedawno razem biegał po opłotkach. Był jakby zupełnie z innego świata.

Nieraz mówi się, że ktoś nie spotkał się z tym, kto był mu przeznaczony. Nie ma takiej sytuacji, że ty, Ania Kowalska, jesteś przypisana Jankowi Nowakowi i to z nim masz założyć rodzinę. Nie jest tak, że Pan Bóg, czy konkretniej: Duch Święty, już od początku waszego życia ustawia tego Nowaka na tę Kowalską, aż przychodzi dzień, w którym mają się spotkać. W niebie jest akcja od rana: „Halo, łączność. Anioł Trzy, anioł Trzy. Widzę, gdzie jesteś. Zbliżają się. Nowak idzie jedną stroną ulicy, ona drugą. Muszą iść tą samą. Po prawej jest pies. Anioł Trzy, niech się rozszczeka, Kowalska przestraszy się i przejdzie przez jezdnię. Udało się. Zaraz się miną. Dwadzieścia metrów. Już prawie. On ma ją potrącić i zrzucić jej torebkę, żeby do siebie zagadali. Co, minęli się? Jak to? Dwadzieścia lat pracy aniołów diabli wzięli”. Swoją drogą, to ostatnie zdanie to ciekawy problem teologiczny. Ksiądz proboszcz jednej z parafii, w których kiedyś pracowałem, powiedział pewnego razu do inżyniera

budującego dom: „Idź pan z Bogiem do diabła”. Do dzisiaj się zastanawiam, jak to ugryźć teologicznie.

> **Nie ma takiej sytuacji, że jesteś przypisana temu jedynemu mężczyźnie na świecie i że jeśli na niego nie trafisz, to zmarnujesz życie.**

Wracając do sedna, nie ma takiej sytuacji, że jesteś przypisana temu jedynemu mężczyźnie na świecie i że jeśli na niego nie trafisz, to zmarnujesz życie. U Pana Boga wszystko jest poza czasem, wszystko jest w jednym momencie, życie nie dzieli się na okres przed powołaniem i po nim.

> **Jeśli chłopak i dziewczyna zawierają małżeństwo i odbywa się to ważnie, to na sto procent są oni do małżeństwa powołani.**

Biskup Ryś to kiedyś ładnie wytłumaczył. Jeśli chłopak i dziewczyna zawierają małżeństwo i odbywa się to ważnie, to na sto procent są oni do małżeństwa powołani. Na sto procent. Nie istnieją takie sytuacje, jak niektórzy twierdzą: „Ja byłem powołany na księdza, ale ta moja tak mi nakładła do głowy, tak mnie skołowała, żem się z nią pobrał”. Jeśli ślub był ważny (czyli udzielony świadomie i dobrowolnie), to było tam powołanie do małżeństwa. Jeśli ja jestem ważnie wyświęconym księdzem, który przeszedł całą formację i któremu przyświecały dobre pobudki, to na pewno jestem powołany do kapłaństwa. Nie ma już miejsca na: „A może jednak by tak wrócić do Kaśki, Baśki, Zośki lub Kryśki?”. Nie ma. „Pawlukiewicz, parafia, robota kapłańska, odprawiasz msze święte, spowiadasz. Nie ma

dyskusji”. Dlatego nikt nie może powiedzieć, że minął się z powołaniem, nikt. To jest niemożliwe. Można świadomie podjąć decyzję wbrew powołaniu – wiedzieć, że się nie nadaje na księdza, a i tak dążyć do święceń, ale to zupełnie inna historia. Jeśli udzielenie sakramentu było ważne i nie było tam świadomej próby postąpienia wbrew powołaniu, to nie jest możliwe minięcie się z nim.

Kościół naucza, że jest jedno powołanie przewidziane dla wszystkich, dla księży, sióstr zakonnych i świeckich. To powołanie do miłości.

Kościół naucza, że jest jedno powołanie przewidziane dla wszystkich, dla księży, sióstr zakonnych i świeckich. To powołanie do miłości. Dlaczego? Bo Bóg jest miłością. Jeśli chcesz pójść do nieba, to musisz pójść tam z ludźmi, z którymi wiąże cię twoje powołanie. Mnie jako księdza związało ze świeckimi. Kapłani, tak jak wszyscy powołani do miłości, pójdą do nieba albo ze swoimi parafianami, albo w ogóle tam nie trafią. Albo się z nimi zjednoczą duchowo, obejmą ich opieką duszpasterską, albo marny ich los. Podobnie, jeśli zakonnica chce iść do nieba, to pójdzie tam albo ze swoimi współsiostrami, albo nie pójdzie w ogóle. Jeśli ty jako mąż czy żona chcesz pójść do nieba, to zrobisz to tylko ze swoją rodziną.

„A co, jeśli mąż mnie opuścił? Trzydzieści lat temu wyszedł z domu po papierosy i nigdy nie wrócił? Co ja mam zrobić?” Masz być najlepszą żoną, jaką możesz być, nie wiedząc, gdzie jest twój mąż. Masz się za niego modlić, masz za niego dawać na msze święte i cały czas go kochać. To będzie bardzo trudne, bo być może mąż cię, przepraszam za słowo, olał, zostawił, nie chce o tobie słyszeć. To jest nieprawdopodobne, jak wiele

małżeństw się rozpada. Oczywiście rozpadają się, bo mąż zdradził, mąż się upił, miał kobietę, ale te same małżeństwa rozpadają się dlatego, że kobieta zacisnęła zęby i błagającemu o przebaczenie mężowi powiedziała: „Draniu, nie przebaczę! Nie przebaczę ci! Choćbyś błagał, prosił zlitowania, nie przebaczę”. Czy to jest małżeństwo?

Małżeństwo to związek dwojga osób, które nieustannie sobie przebaczają. (...) Jeśli nie umiesz przebaczać, nie pchaj się w małżeństwo. Jeśli nie umiesz powiedzieć „pomyliłem się”, odpuść sobie albo się zmień.

Małżeństwo to związek dwojga osób, które nieustannie sobie przebaczają. Od razu to sobie powiedzcie, jeśli przygotowujecie się właśnie do ślubu. Jeśli nie umiesz przebaczać, nie pchaj się w małżeństwo. Jeśli nie umiesz powiedzieć „pomyliłem się”, odpuść sobie albo się zmień. Musisz nastawić się na to, że w małżeństwie trzeba być pokornym.

Trójca Święta uczy nas zakochania się w zakochaniu. To bardzo ciekawe zjawisko. Czy zakochałeś się kiedyś w czyimś zakochaniu? Na

przykład w zakochaniu swoich rodziców? Kiedyś jedna dziewczyna powiedziała po ślubie do swojego męża, nauczyciela wuefu w szkole:

– Wiesz, ja ci nigdy nie mówiłam, ale bardzo często przyjeżdżałam do twojej szkoły, żeby popatrzeć, jak ty kochasz tych chłopców, z którymi grasz w piłkę, rzucasz oszczepem, i jak oni kochają ciebie. Stawałam sobie za śmietnikiem i patrzyłam, jak oni są w ciebie wpatrzeni, gdy ty grasz z nimi w nogę, wygłupiasz się, szturchasz ich i mierzysz im czas.

On, zdziwiony tym, co usłyszał, spytał:

– Ty przychodziłaś pod moją szkołę? No to dlaczego do mnie nie przyszłaś? Przecież byśmy poszli do tej mojej kanciapki, zrobiłbym herbatę...

– Ja chciałam patrzeć, jak ty kochasz tych chłopców i jak oni kochają ciebie.

Zakochać się w czyimś zakochaniu. Widziałem kiedyś, jak to wygląda w praktyce. Siedziałem w pociągu relacji Warszawa–Otwock. To był drugi dzień świąt, wracałem do domu. Zająłem miejsce w bezprzedziałowym wagonie, a na fotelach po przekątnej usiedli żona z mężem i dość małym jeszcze dzieckiem. Rodzice byli do siebie przytuleni. To ciekawe zjawisko, bo zauważyłem już jakiś czas temu, że to narzeczeni się do siebie przytulają. Po ślubie z niewiadomych powodów ludzie przestają się do siebie tulić. Chyba więc dlatego, że było to takie niecodzienne, ta para zwróciła na siebie moją uwagę. Nie tylko moją. Ich dziecko, popatrzywszy na rodziców, po chwili powiedziało głośno: „Ja też tak chcę”. Ten pan wziął je na kolana i tak jechali przytuleni we trójkę. On patrzył, jak jego żona kocha dziecko. Ono – jak tata kocha mamę, a żona patrzyła na miłość, jaka promieniowała z męża. Kochali się nawzajem. Byli tą miłością i jednością zafascynowani.

Miłość to jest decyzja. Gdyby miłość była uczuciem, to przysięga małżeńska nie miałaby sensu. Ślubuję ci miłość... Czy ja w ogóle mogę komukolwiek ślubować uczucia? Ślubuję ci, że czwartego września dwa tysiące sześćdziesiątego trzeciego będę pełen uczuć do ciebie? Nie wiem tego. Może mnie wtedy wkurzysz. Małżonkowie mający już za sobą jakiś staż na pewno przyznają mi rację, że nie raz w ich głowach pojawiła się myśl: „Wkurzasz mnie, żono", „Wyjątkowo durny jesteś, mężu, ale cię kocham, bo tak obiecałam. Bo tak się poświęciłam".

Szczęście ludzkie jest to stan, w jakim bywają niektóre dzieci do piątego roku życia. Potem jest o nie bardzo trudno.

Szczęście ludzkie jest to stan, w jakim bywają niektóre dzieci do piątego roku życia – powtórzę zdanie, jakie kiedyś usłyszałem. Potem jest o nie bardzo trudno. Jest taki film, *Leon zawodowiec*, o mordercy do wynajęcia mieszkającym przez ścianę z ojcem, który tłukł swoją córeczkę. Kiedyś na klatce schodowej ten morderca spotyka tę dziesięcioletnią dziewczynkę z zakrwawionym nosem. Podaje jej chusteczkę, a po chwili ciszy ona pyta: „Proszę pana, czy życie jest takie trudne zawsze, czy tylko jak się ma dziesięć lat?". W odpowiedzi usłyszała: „Zawsze".

I naprawdę można całe życie przeżyć z takim nastawieniem, bo nigdy nie będzie się już na tym etapie szczęścia, na jakim bywa małe dziecko. To nie znaczy oczywiście, że w życiu nie ma się z czego cieszyć. Istnieje jedna umiejętność, która jest najwspanialszym prezentem, jaki można komuś dać. To cieszenie się z drobiazgów. Jeśli siedzimy cały czas z głową w chmurach, myśląc o tym, jak to nie realizują się nasze marzenia, możemy nie zauważyć tych najprostszych radości.

Naprawdę podziwiam ludzi, którzy potrafią wszędzie dostrzec jakiś negatyw. Podziwiam, ale i współczuję im. Kiedyś w czasie wakacji byłem przez parę dni u sióstr zakonnych. Posiłki jadałem tam z kapelanem. Fajny był z niego facet, ale, delikatnie mówiąc, nie lubił sióstr, którym posługiwał. Za każdym razem gdy siadaliśmy do obiadu, rozpoczynał kolejny odcinek serialu „krytyka zakonnic". Mówił, że są głupie, durne, że nie wiedzą, o co w świecie chodzi. W pewnym momencie nie wytrzymałem już i powiedziałem:

– Muszę stanąć w obronie tych sióstr. Proszę księdza, niech ksiądz popatrzy obiektywnie. Młode dziewczyny, po studiach, wykształcone, a zasuwają w gospodarstwie rolnym. Gnojówę noszą wiadrami, doją krowy, zajmują się zwierzętami w tym smrodzie. Chyba należy im się za to jakieś słowo uznania?

– A po co się zajmują? Świnia musi spać, a jak ktoś ją obudzi, to się denerwuje. Zdenerwowana świnia nie przybiera na wadze – odpowiedział.

Podniosłem ręce, poddałem się. Gdy ktoś bardzo chce, do wszystkiego może się przyczepić.

Ciągle czekamy na szczęście, które przyjdzie do nas z zewnątrz, od kogoś innego, kogoś, kto się nim podzieli. Szczęście tymczasem pochodzi z wnętrza człowieka.

Ciągle czekamy na szczęście, które przyjdzie do nas z zewnątrz, od kogoś innego, kogoś, kto się nim podzieli. Szczęście tymczasem pochodzi z wnętrza człowieka. Ogromna większość naszych postaw i czynów zależy od nas. Są oczywiście czynniki niezależne, które nas kształtują, ale tak naprawdę to jest tylko kilkanaście procent tego, co na nas wpływa.

Wstrząsnęła mną kiedyś odpowiedź na pytanie, kto był najszczęśliwszym człowiekiem w dziejach świata. Jezus Chrystus na krzyżu. Możemy się temu sprzeciwiać, nie dawać wiary, ale On rzeczywiście był najszczęśliwszy, bo dokonywał dzieła zbawienia. Pokonywał szatana. Rzucał w otchłań moce piekielne. Oczywiście nikt nie neguje bólu fizycznego, jaki wtedy odczuwał, ale Jego radość, płynąca z wyzwolenia ludzkości, była największą radością, jaką kiedykolwiek przeżył człowiek. Mówiąc o szczęściu, nie możemy bowiem zapomnieć o krzyżu.

Clément Falize/Unsplash

Ksiądz Jan Twardowski nie był może najwybitniejszym teologiem, ale na pewno był wybitnym poetą, który napisał kiedyś jedno wyjaśniające tę tajemnicę zdanie. „Krzyż to takie szczęście, że wszystko inaczej”. Kropka. Tajemnica krzyża jest prosta, kiedy się kocha. Jeśli ktoś nie kocha, nie zrozumie Ewangelii. Można być inteligentnym i błyskotliwym, ale jeśli nie kochasz brata, siostry, matki, to mimo że przeczytałeś wiele prac teologicznych, nic nie zrozumiesz.

Formą zyskania szczęścia i rozwoju człowieka są relacje międzyludzkie. Zwróćcie uwagę, że dzisiaj ludzie ze sobą nie rozmawiają, tylko rzucają hasła. „Jak tam Małysz?” „Przegrał”. „Liverpool? Awansował czy nie awansował?” „Słuchaj, podobno frank szwajcarski poszedł w górę”. „Kurde, ja mam kredyt we frankach”. Tak często wyglądają nasze rozmowy. Proszę zwrócić uwagę, jak nasze spotkania są zdominowane przez rozmowy o technicznych sprawach albo ile gromadzimy niemal identycznych pamiątek. Kiedyś jedna pani chciała mi pokazać zdjęcia ze ślubu swojej córki. Wyciągnęła album, a tam pięćset fotografii. Tyle to moi rodzice uzbierali przez całe życie, a oni mają pamiątkę po jednym wieczorze. „Tu jest teściowa tego zięcia kolegi męża. Tu lepiej widać. A tutaj babcia, już taka zmęczona, bidulka. O, to już ostatnie. Może pokażemy księdzu, jak to wszystko wyglądało na DVD?”

Dlaczego tak robimy? Bo my nie lubimy, boimy się rozmów. Rodzice jak ognia boją się rozmów z dziećmi. Opowiadam często o chłopaku, który mając już grubo ponad dwadzieścia lat, zrozumiał rzecz szokującą – nigdy nie rozmawiał z ojcem. Wokół niego było wielu mężczyzn, z którymi rozmawiał – trener, ksiądz, nauczyciel udzielający mu korepetycji. Jedynym facetem, z którym nigdy nie rozmawiał, nigdy, był jego ojciec. Ich kontakt ograniczał się do trzech haseł. „Nie pyskuj matce”. „Wyrzuć śmieci”. „Umyj samochód”. To było wszystko, co tata tego chłopaka miał mu do powiedzenia. Młody postanowił to zmienić, ale bał się rozmowy w cztery oczy. Zdecydował się więc zadzwonić.

– Cześć, Marek, już daję mamę.

– Tato, ja do ciebie.

– Do mnie? A co się stało?

– Tato, chciałem ci podziękować za to, że finansowałeś moje studia przez te parę lat.

– Marek, piłeś coś?

– Nie, tato. Naprawdę jesteś w porządku ojcem.

– Dzięki.

– No, ja nie umiem tego tak wyrazić, ale...

– Marek, potrzebujesz pieniędzy?

– Nie, tato, nie. Dzwonię, żeby ci powiedzieć: dzięki. Jesteś w porządku staruszkiem.

Rozmowa trwająca sto osiemdziesiąt sekund. Najważniejsza rozmowa ich życia.

Pamiętajcie, dziewczyny, że kobieta powinna nauczyć mężczyznę komunikacji. Gdy przychodziłem do domu, mama mówiła mi: „Idź, przywitaj się z babcią. Idź, ucałuj ciocię”. Uczyła mnie tego. Do mnie i do mojego brata mówiła: „Nie bijcie się, jesteście braćmi, musicie się wzajemnie wspierać”. Uczyła nas komunikacji. Ale czasami nawet taka matczyna nauka niewiele daje i potem zdarzają się sytuacje jak ta, której byłem świadkiem w pociągu relacji Poznań–Przemyśl. Już w Krakowie miał on dwadzieścia minut opóźnienia. Potem te dwadzieścia minut utrzymywało się w Tarnowie i w każdym następnym większym mieście, w którym się zatrzymywaliśmy. Na ostatnim odcinku do przedziału, w którym siedziałem, przyszedł konduktor sprawdzić bilety: mój i mojej współpasażerki.

– Czy ten pociąg będzie miał opóźnienie? Bo jeśli tak, to chciałabym powiedzieć synowi, żeby nie czekał na peronie, tylko wrócił do domu, zrobił sobie herbatę, a jak pociąg będzie dojeżdżał, to ja do niego zadzwonię, żeby on wyszedł. Czy ten pociąg będzie miał dwadzieścia minut opóźnienia, czy coś się zmieniło po drodze, bo... – spytała konduktora.

On popatrzył na nią znacząco i powiedział:

– Ma.

Drogie panie, to jest dużo. Jeśli chodzi o męską komunikację, to naprawdę dużo.

Dziewczyna najmocniej kocha nie tego chłopaka, który jest najbardziej umięśniony, ale tego, który potrafi najlepiej jej wysłuchać.

Czego dziewczyny oczekują od chłopaków? Głównie jednego: chcą być wysłuchane. Dziewczyna najmocniej kocha nie tego chłopaka, który jest najbardziej umięśniony, ale tego, który potrafi najlepiej jej wysłuchać. Nie martwcie się jednak, panowie. Mężowie mówią mi, że niejednokrotnie wystarczy opanować podstawowe hasła, które można wykorzystać, gdy żona opowiada mężowi coś, czego on zupełnie nie może pojąć (pamiętajmy, że mężczyźni mają problem ze skupieniem się na opowieściach o relacjach międzyludzkich, zwłaszcza jeśli dotyczą one koleżanek z pracy żony). Te hasła to: „Tak?”, „Co ty?!”, „*Really?*”, „Coś nieprawdopodobnego”, „Pierwsze słyszę”, „Naprawdę?”, „I to tak było?”. Tyle wystarczy, by wasza żona mogła powiedzieć: „Jak ty mnie słuchasz, jak ty mnie rozumiesz!”.

Czego chłopaki potrzebują od dziewczyn? Podziwu i pochwał. Nie wiem, czy Polska jest jedynym krajem, w którym są takie ogromne kłopoty z chwaleniem faceta, czy wszędzie tak jest, ale bardzo mnie to zadziwia. Mówię do kobiety:

– No idź, pochwal swojego męża.

– A za co mam go chwalić?

– Że jest mądry.

– A co to, ja głupia jestem? Głupia jestem? Za co mam go chwalić?

– Ile lat jesteście po ślubie? – pytam więc.

– Dwadzieścia.

– Mieliście zawsze samochód?

– Zawsze. Zmienialiśmy różne modele, ale ciągle, do dziś, mamy samochód.

– Jak jedziecie w trasę, kto prowadzi?

– Mąż.

– Mieliście kiedyś wypadek albo chociaż stłuczkę?

– Nigdy, żadnej.

– Podziękowała pani za to mężowi? Ile razy trajkotała mu pani w czasie jazdy o tym, co słychać u Kowalskiej z pierwszego piętra, a on wychodził w tym czasie gładko z poślizgu, w jaki wpadł samochód. Proszę iść i powiedzieć: „Chodź no tutaj, mój Kubico. Niech cię pochwalę. Dobrze jeździsz”.

Mężczyźni potrzebują porównywania. Uwielbiam patrzeć, jak faceci na parkingu przy supermarkecie zatrzymują swoje samochody. Podjedzie na miejsce, zaparkuje, strzeli kluczykiem z biodra – panowie, pamiętajcie, pilot musi być w czasie zamykania samochodu na wysokości biodra, prawie jak rewolwer – odejdzie pięć kroków i odwróci się, żeby popatrzeć, jak się ten jego samochód prezentuje na tle innych.

Kobiety nie mają aż takiej potrzeby porównywania się. One oczywiście też potrafią być nieraz zawistne, gdy popatrzą na siebie i swoją koleżankę i odkryją, że brakuje im czegoś, co tamta ma, ale trzeba wam, drogie panie, oddać, że potraficie się też bardziej niż mężczyźni wspólnie cieszyć. „Bożena, jaką masz śliczną fryzurę. Kto ci robił te pasemka? Cudownie wyglądasz. Tak się cieszę, że tak pięknie wyglądasz”. Wyobrażacie sobie podobną sytuację u facetów? „Włodek, jaką ty masz fryzurę. Ojejku. Jak się cieszę, że tak...” Przecież to nierealne.

Faceci robią to inaczej. „Trafisz w latarnię kamieniem?” „Ile wyciągasz?” Faceci ciągle się porównują. Idzie młody chłopak ulicą, dziewczynki grają w gumę.

Alex Alvarez/Unsplash

– Która z was wygrywa?

– Żadna, my sobie tak tylko skaczemy.

– To po co ta gra?

Temat facetów – rzeczy. „Ile ci pali?” „Teraz wsadziłeś tę nową kartę dźwiękową?” „A te kolumny to ci wystarczają?” Temat u kobiet? Osoby. „Słuchaj, Beata jest z Andrzejem? A ten ich syn, Łukasz, to on chorował teraz, tak?”

Pewien ksiądz postanowił kiedyś zrobić niespodziankę mieszkańcom jednego bloku. Od lat zaczynał w nim kolędę od tej samej klatki, bo tam było mieszkanie numer jeden. Tym razem zaczął od numeru czterdzieści sześć. Wszyscy ludzie byli zdziwieni:

– Już ksiądz jest?

– A co? Przecież mówiłem, że od szesnastej będę chodził.

– No tak, ale...

A jak się trafiło na faceta, który był jeszcze sam w domu, bo żona nie wróciła z pracy, to dramat.

– Proszę pana, pan tu mieszka z żoną, ma pan dzieci?

– Żony nie ma, no.

– A ile dzieci mają lat?

– No właśnie, no, żony nie ma, no.

– Pomodlimy się?

– Pomodlimy się, ale żony nie ma, no.

Pan wyciągnął dowód osobisty, żeby spisać z niego dzieci do kartoteki, a na koniec powiedział:

– Proszę księdza, ja księdzu powiem wprost. Nie wiem, gdzie ona trzyma pieniądze, no. Niech ksiądz wpadnie jeszcze raz, jak ksiądz będzie wracał, to ja się księdzu wypłacę.

Domyślam się, że opowiadam tu jakąś sielankę, ale to wszystko nie jest takie proste. Wielu mogłoby zapewne powiedzieć: „Ksiądz by poszedł do mnie do domu, toby ksiądz zobaczył i przestał dowcipkować”. Bo w wielu rodzinach i domach dzieją się rzeczy bardzo trudne. Ja to wiem.

Wiesz, dlaczego może twój ojciec pije? Wiesz, dlaczego może twój brat wpadł w narkomanię? Żeby ratować ciebie. Wiem, że to kontrowersyjne, ale może właśnie tak jest? Twój ojciec być może jest taki, jaki jest, żeby złamać twoje serce, bo ty od trzydziestu lat chodzisz i powtarzasz, że to okropny pijak. A spróbowałeś z nim pogadać? Wiem, że to będzie arcytrudne, ale spróbuj! Módl się za niego. Spróbuj do niego zagadać. Spróbuj pochwalić go za coś. Bo to, że pije, powiedziałeś mu już w swoim życiu trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt dwa razy. On był kiedyś dobrym człowiekiem, dobrym chłopakiem i ten chłopak gdzieś tam w nim żyje, przypomnij mu o tym.

> **Pamiętajcie, słodki stan wewnętrznego pokoju, równowagi jest często stanem, w którym szatan przygotowuje naszą duszę do piekła.**

Pan Bóg daje nam trudne zadania, żebyśmy mogli się z nimi zmagać i rozwijać duchowo. Pamiętajcie, słodki stan wewnętrznego pokoju, równowagi jest często stanem, w którym szatan przygotowuje naszą duszę do piekła. Na początku komuny wsadzano księży do więzień, torturowano ich, ale nie osiągnięto zamierzonego efektu. W końcu komuniści wpadli na pomysł – trzeba robić odwrotnie. Trzeba księżom sprzedawać tanio dolary, dawać im paszporty, żeby mogli jeździć za granicę i rozkochać się w tamtym świecie, zapominając o swojej parafii, o swoich parafianach.

Pamiętajcie, dobre czasy dla Kościoła to złe czasy. Złe czasy dla Kościoła to dobre czasy.

Mnie zawsze zaskakiwały rozwiązania Pana Boga. Zresztą nie tylko mnie, ludzie zawsze gęby rozdziawiali, gdy widzieli, jak Pan Bóg rozwiązuje sytuacje. Oto anegdotka. Pewne małżeństwo miało sześćdziesiąt lat życia za sobą, trzydzieści lat w małżeństwie. Przyszedł do nich anioł, mówi:

– Pięknie się prowadzicie. Dostaniecie w nagrodę, co tylko sobie wymarzycie. Co pani chciałaby otrzymać?

– Podróż dookoła świata – mówi ona.

– Proszę. – Anioł wyjął już podpisane zlecenia, rezerwacje, bilety kolejowe. Nieco *pro forma* zwrócił się jeszcze do jej męża: – Dla pana też bilety kolejowe?

– Nie, ja nie chcę dookoła świata – odparł mężczyzna.

– Nie chce pan jechać dookoła świata? To czego pan chce?

– Chcę mieć żonę trzydzieści lat młodszą.

Anioł go dotknął i już facet miał dziewięćdziesiąt lat.

Miłość bliźniego i miłość Kościoła polegają na tym, że nie zostawiamy ich samym sobie, tylko się w ich sprawy angażujemy. Chrześcijaństwo polega na tym, że się rwiesz, że boli cię głowa od ciągłego walenia nią w dach, bo ciągle skaczesz, chcąc czegoś więcej. Chrześcijaństwo nie polega na „nie odzywaj się” i „nie wyrywaj się”. Ty właśnie masz zabrać głos! Ty właśnie masz się poświęcić!

Anna Kamieńska powiedziała kiedyś, że o milczeniu można powiedzieć, iż jest złotem, ale tylko po przyjrzeniu się temu, co było powiedziane wcześniej. To jest genialna myśl. Jeśli ktoś kogoś skrzywdził, a ty milczysz, to jesteś tchórzem, nie mędrcem. Masz się jako chrześcijanin

wpychać nawet tam, gdzie cię nie chcą. Będziesz pchał palec między drzwi i to będzie bolało, ale takie jest chrześcijaństwo.

Miłość bliźniego i miłość Kościoła polegają na tym, że nie zostawiamy ich samym sobie, tylko się w ich sprawy angażujemy. Chrześcijaństwo polega na tym, że się rwiesz, że boli cię głowa od ciagłego walenia nią w dach, bo ciągle skaczesz, chcąc czegoś więcej. Chrześcijaństwo nie polega na „nie odzywaj się” i „nie wyrywaj się”.

Mam jeszcze jedną myśl: błogosławieni ludzie, którzy potrafią się z siebie śmiać. Zostałem kiedyś zaproszony do pewnego katolickiego radia w okolicach Warszawy. Dziewczyna pracująca tam w sekretariacie była,

mówiąc delikatnie, tęga. Sprytnie to jednak ukrywała. Miała na sobie takie pionowe paseczki, czarne kolory tam, gdzie trzeba mieć czarne kolory. W pewnym momencie zauważyła, że się jej przyglądam. Uśmiechnęła się i zapytała:

– Proszę księdza, jaka bryła jest doskonała?

– Kula – odpowiedziałem.

– I ja właśnie dążę do doskonałości.

Spotkałem dziewczynę, która śmiała się ze swojej urody. To nieprawdopodobne.

W seminarium w Warszawie działa kabaret. Klerycy wystawiają raz w roku przedstawienie, w którym śmieją się ze swoich profesorów. Są tacy wykładowcy, którzy w tym dniu znikają, nie można ich znaleźć. A są też tacy, którzy przychodzą i dopytują: „Będzie coś na mnie? Naprawdę? Dwa numery o mnie? O, to super”.

Bałem się śmiechu, kiedy wszedłem do seminarium. Co będzie, jeśli kiedyś w kościele coś mnie tak rozśmieszy, że nie będę mógł przestać się śmiać? Prawie się tak zdarzyło. Był pogrzeb, a ja nie zapisałem sobie imienia zmarłego. Nie wiedziałem nawet, czy to mężczyzna, czy kobieta. Podszedłem do mikrofonu i mówię: „Módlmy się za tę osobę ludzką, za to dziecko Boże...”. Nie mogłem tak całą mszę przecież, więc przywołałem kościelnego i proszę: „Idź, dowiedz się, jak się nazywa ten zmarły”. Myślałem, że pójdzie do zakrystii spisać jego imię z księgi, ale ten wali do trumny i patrzy na tabliczkę. Udaje, że poprawia kwiaty, i składa literki. Potem przyleciał do mnie i udając, że nalewa wody do ampułek, mówi: „Aleksander”. Pełna konspira. Tak mnie to wtedy rozśmieszyło, że mało brakowało, a nie doszłoby do przeistoczenia.

Trzeba się umieć z siebie śmiać. To naprawdę dobrze człowiekowi robi. Wielu cierpi z powodu swojej niedoskonałości i tylko dlatego nie znajduje

szczęścia. Wiecie, dlaczego dzieci do piątego roku życia są takie radosne? Bo one nie mają kompleksów. Nie zdają sobie sprawy ze swoich niedoskonałości i nie porównują się tak jak my, dorośli. Jeśli chcecie być szczęśliwi, musicie stać się jak dzieci.

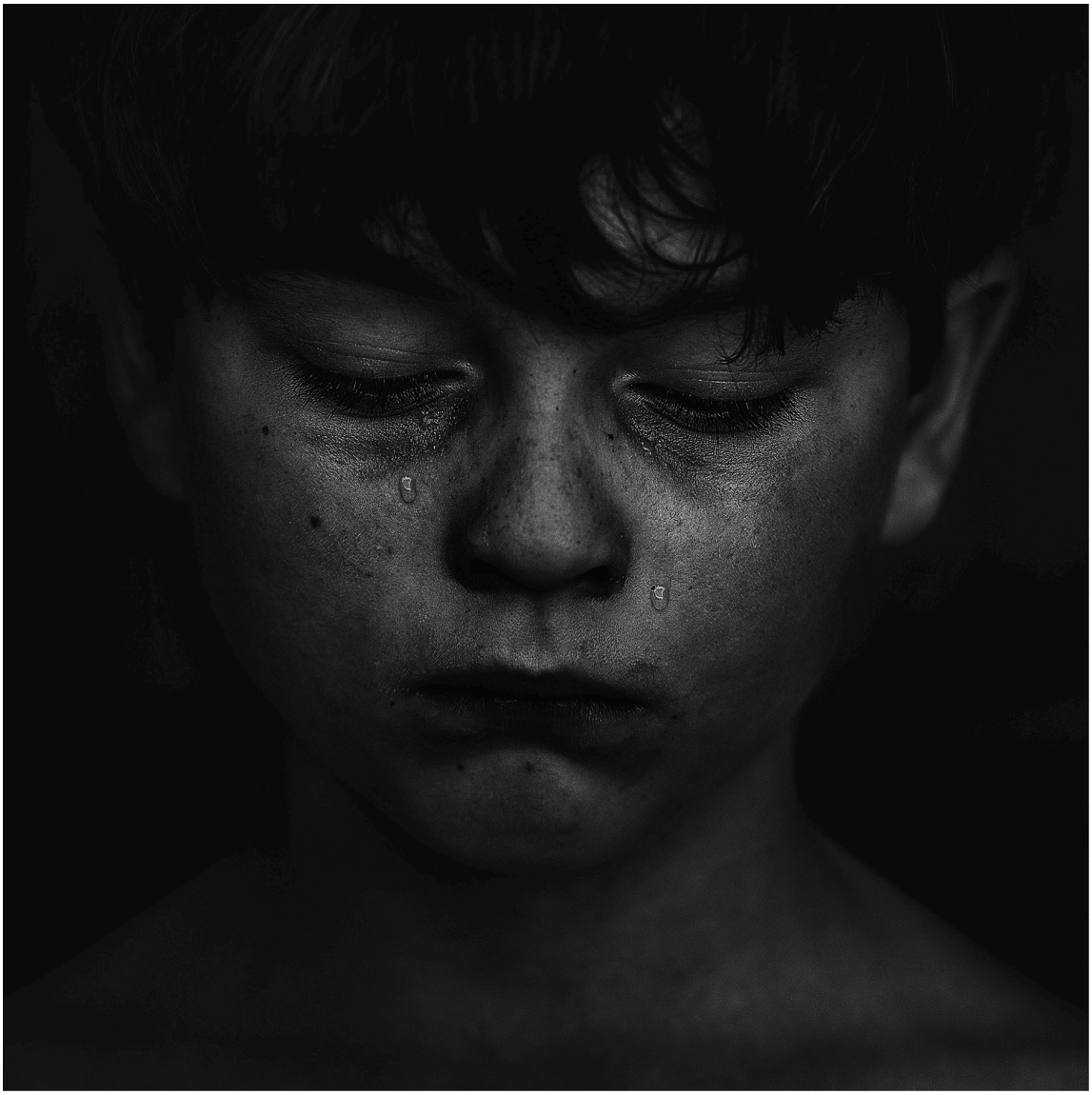

Kat J/Unsplash

CIERPIENIE

> „Zaraz po wyjściu z synagogi przyszedł z Jakubem i Janem do domu Szymona i Andrzeja. Teściowa zaś Szymona leżała w gorączce. Zaraz powiedzieli Mu o niej. On podszedł do niej i podniósł ją, ująwszy za rękę, gorączka ją opuściła. A ona im usługiwała.
>
> Z nastaniem wieczora, gdy słońce zaszło, przynosili do Niego wszystkich chorych i opętanych; i całe miasto było zebrane u drzwi. Uzdrowił wielu dotkniętych rozmaitymi chorobami i wiele złych duchów wyrzucił, lecz nie pozwalał złym duchom mówić, ponieważ wiedziały, kim On jest.
>
> Nad ranem, gdy jeszcze było ciemno, wstał, wyszedł i udał się na miejsce pustynne, i tam się modlił. Pośpieszył za Nim Szymon z towarzyszami, a gdy Go znaleźli, powiedzieli Mu: «Wszyscy Cię szukają». Lecz On rzekł do nich: «Pójdźmy gdzie indziej, do sąsiednich miejscowości, abym i tam mógł nauczać, bo na to wyszedłem». I chodził po całej Galilei, nauczając w ich synagogach i wyrzucając złe duchy”.
>
> **Mk 1, 29–39**

Cierpienie. Teściowa leży w gorączce, całe miasto zebrane u drzwi, „przynosili do Niego wszystkich chorych”. On uzdrowił wielu, ale nie wszystkich. Czy to sprawiedliwe? Czy Bóg jest sprawiedliwy, skoro w Księdze Hioba umawia się z diabłem, pozwalając mu sprawdzić Hiobową wiarę? Porozmawiajmy o fałszywych wyobrażeniach Pana Boga.

Jestem przekonany, że choć nikt z nas nie powie wprost, że Pan Bóg źle postępuje, że jest podły, to gdzieś w głębi serca możemy mieć takie poczucie. Sądzę nawet, że niejeden człowiek odszedł od Kościoła przez to, że w głębi serca nosił oskarżający obraz Pana Boga.

Jakie jest największe oskarżenie, które zdarza się słyszeć Panu Bogu z naszych ust? Jak można być Ojcem, który posyła na krzyż własnego Syna? Bo właśnie takie stwierdzenie – Ojciec chciał, żeby Syn złożył ofiarę – można usłyszeć w kazaniach, przeczytać w książkach i znaleźć w pobożnych pieśniach. Powiedzmy sobie wprost: co to za Ojciec? Zwłaszcza że Jezus miał złożyć tę ofiarę nie za swoje grzechy, bo On jest czysty i niewinny, tylko za grzechy innych ludzi. Gdyby jakiemuś panu łobuziaki porysowały samochód, a on pełen gniewu powiedziałby: „No to teraz ktoś musi z tego powodu pocierpieć", to czy zgłosiłbyś do tego swoje dziecko? „To może mój syn pójdzie?" Byłbyś sadystą, nie ojcem.

Sprawa cierpienia Syna Bożego, dziejącego się jakoby z upodobania Boga Ojca, ma się tak: Pan Bóg jest przeogromnym miłośnikiem wolności. Kiedy więc Adam i Ewa powiedzieli mu: „Nie ufamy Ci. Ufamy demonowi", Bóg zgodnie z ich prośbą odsunął się od nich. Nie przeszkodziło Mu to jednak w rozpoczęciu akcji ratunkowej.

My też jesteśmy miłośnikami wolności. Gdy chłopak spotyka się z dziewczyną lub dziewczyna z chłopakiem, możemy być świadkami takiej rozmowy:

– A ty mi te kwiaty kupiłeś z miłości? Czy masz w tym jakiś interes?

– Guzik byś mi przyszyła.

– A, to tobie o guzik chodziło, a nie o miłość.

Bardzo chcemy być kochani z wolnego wyboru, w pełni wolności. Chłopak i dziewczyna będący w relacji ciągle to sprawdzają. Ciągle sprawdzają to mąż i żona. Rodzice i dzieci sprawdzają, czy ich relacja jest zrodzona w wolności. Niosłem kiedyś tomik poezji księdza Jana Twardowskiego. W kancelarii siedziała siostra zakonna. „To dla siostry" – mówię. „A czy ksiądz to kupił, czy dostał?" Doskonale rozumiem to pytanie.

Nie daj Boże, żeby się komuś przy kobiecie wyrwało: „Mam dla ciebie taką szkatułkę. Może tobie się przyda, bo ja nie mam co z nią zrobić”. O, przepraszam. Takie coś to się nie liczy. Gdybyś ty za tą szkatułką jeździł do Krakowa, pokaleczył się i jeszcze by cię konduktor złapał bez biletu, to wtedy ona miałaby wartość. Taka zbywająca rzecz nie jest cenna.

Grzech pierworodny tak przywalił ludziom pałką w łeb, że na całym świecie nie mógł znaleźć się nikt, kto by z całkowitą pewnością powiedział: „Tak, Panie Boże, chcę Ciebie”.

Wracając do Adama i Ewy, Pan Bóg mówi tak: „Wrócę do was, tylko poproście Mnie o to, gdy już będziecie w stu procentach pewni, że chcecie mojego powrotu”. I tu zaczął się kłopot. Grzech pierworodny tak przywalił ludziom pałką w łeb, że na całym świecie nie mógł znaleźć się nikt, kto by z całkowitą pewnością powiedział: „Tak, Panie Boże, chcę Ciebie”. Pomyślmy o tym. Idąc na mszę świętą, chcemy Boga, chcemy, żeby On przyszedł, ale podczas kazania nasze myśli odpływają i dłuży nam się w kościele niemiłosiernie. Chcemy Boga, ale nie skupiamy się i myślimy o tym, co zostawiliśmy za murami świątyni.

Taki przykład. Jest powódź, wielu ludzi straciło dom. Ktoś bardzo bogaty mówi: „Pojadę na tereny powodziowe i odbuduję jeden budynek”. Przychodzi do domu, siedzi rodzina, wszyscy biadolą, narzekają, bo nie mają gdzie mieszkać, żyją w strasznych warunkach. Ten ktoś mówi: „Odbuduję wam dom”. Na te słowa młody syn właścicieli wstaje i mówi: „Bardzo dobrze. Bardzo się cieszę. Proszę pana, ja tu idę na piwo, potem na dyskotekę, potem z kumplami jadę na ryby, to pan wpadnie kiedyś w przyszłym tygodniu, żeby o tej odbudowie pogadać”. Bogaty jegomość

zwraca się więc do jego rodziców: „Proszę państwa, chciałem odbudować dom”. Oni skłóceni: „Dobrze, niech pan odbuduje. Tylko mężowi proszę klitkę małą wymurować, a mi wielki pokój”. „Nie, to jej trzeba klitkę małą, a mnie wielki pokój”. Ktoś chciał coś ofiarować bliźnim, odbudować im dom, ale nie ma z kim o tym gadać. Tamten poszedł na piwo, ci się sprzeczają. W końcu ojciec rodziny mówi: „To niech pan w ogóle tego domu nie odbudowuje”. Matka potwierdza: „Bardzo dobrze, niech pan nie odbudowuje”. Z nami jest tak samo.

Pan Bóg przychodzi i mówi: „Chcę was zbawić”. My jednak nie zwracamy na Niego uwagi. Kłócimy się, sprzeczamy, fascynujemy się jakimiś głupstwami. „Z kim Ja mam tu pracować?” – mógłby powiedzieć Bóg.

Wracając do mojego przykładu, możemy założyć, że do domu wraca córka, która przed laty wyjechała do miasta. Ona mówi: „Proszę pana, przepraszam pana za brata, przepraszam pana za rodziców. Oni są, jacy są, ale niech pan im ten dom odbuduje. Błagam pana, bo inaczej oni w zimie zamarzną, zginą”. Właśnie tak zachował się Jezus. Przyjechał do nas, stał się człowiekiem i powiedział: „Ojcze, niech ludzkość wróci do Ciebie”. Powiedział to całym swoim życiem.

Chrystus nie narodził się po to, by umrzeć. (...) On przyszedł, żeby żyć i pokazywać ludziom piękno, prawdę, miłość.

Chrystus nie narodził się po to, by umrzeć. Gdyby taki był sens Jego obecności na ziemi, Jezus mógłby zginąć jako młodzianek w Betlejem od mieczy Heroda. On przyszedł, żeby żyć i pokazywać ludziom piękno, prawdę, miłość. W świecie skażonym przez grzech od razu nadział się

jednak na kontratak szatana. Każdy, kto chce żyć w tym świecie dobrze, natychmiast musi się zmierzyć z takim kontratakiem – ksiądz Popiełuszko, Jan Paweł II. Spróbujcie jutro wstać i od rana mówić ludziom tylko prawdę, trwać w szczerości, ćwiczyć się w doskonałości. Nie będzie jeszcze południa, a wy już dostaniecie po głowie. Taki jest świat.

Jezus został ukrzyżowany, bo taka była konsekwencja Jego działalności. On całym życiem pokazywał miłość. Nie popełnił najmniejszego grzechu. Szedł jako człowiek ku Bogu, ku Jego woli, ku Jego prawdzie. Właśnie o to chodziło Bogu Ojcu, ktoś musiał to zrobić.

Pewna babcia mówi do wnuczka:

– Wnuczku, skopałbyś mi ogródek?

– No skopię ci, babciu – odpowiedział chłopak, po czym przez kilka godzin pracował zawzięcie łopatą. Przyszedł do babci, spocony i zmęczony.

– Spociłeś się? – pyta babcia.

– Spociłem.

– A to dobrze. A ręce cię bolą?

– Bolą.

– A to dobrze. Skaleczyłeś się?

– Tak, skaleczyłem się.

– A to dobrze.

A
6

Maksym Kaharlytskyi/Unsplash

Zapytalibyśmy: „Co to za głupia kobieta?”. On jej skopał ogródek, skaleczył się i bolą go ręce. Ledwo na nogach stoi, a babcia nad tym nie ubolewa. Czy na pewno? Czy to nie jest fałszowanie rzeczywistości? Może babcia sprawdzała tylko, w jakim stanie jest jej wnuk? „Wnusiu, aleś się zmęczył. Ale to dobrze, nie było innego wyjścia, trzeba było ten ogródek skopać”.

Cierpienie jest konsekwencją tego, że w tym świecie okazujemy sobie miłość. Bóg nie miał żadnej radości ani upodobania w tym, że Jego Syn wisiał na krzyżu. Jeśli jednak, jak powiedzieliśmy, w całym swoim życiu Jezus miał mówić Bogu „tak”, to również na krzyżu, kiedy Go krzyżowali i zabijali, On mówił swoje „tak”. Dzięki temu, że jako jedyny człowiek w dziejach ludzkości dokonał takiego aktu miłości, jako jedyny wybrał Boga na sto procent, zbawił świat i pozwolił nam wrócić do Ojca.

Gdyby nie to, my, stojąc w kościele na mszy, powinniśmy być przerażeni. Kto z nas na sto procent odda wszystko Bogu? Kto w minionym tygodniu nie popełnił grzechu? Kto w minionym tygodniu wypełnił wolę Boga do końca? Nikt. Jestem o tym przekonany. Ani ja, ani wy. Na szczęście dwa tysiące lat temu żył Jezus, który powiedział wtedy i mówi już na okrągło: „Boże Ojcze, oni chcą do Ciebie wrócić, a Ja jestem jednym z nich. Jestem jak ta siostra, co przyjechała do swojej skonfliktowanej rodziny, skupionej na kłótni, która zasłaniała im szansę na odbudowanie domu. Pozwól im do Ciebie wrócić”.

To pierwsze fałszywe stwierdzenie, z którym się już rozprawiliśmy, że Bóg chciał śmierci swojego Syna i Jego cierpienia, prowadzi nas do kolejnego – Bóg chce naszego cierpienia.

Cierpienie jest naszym codziennym doświadczeniem.

Cierpienie jest naszym codziennym doświadczeniem. Wszyscy otarliśmy się o chorobę nowotworową, wypadek samochodowy, pożar czy powódź, które odebrały mieszkanie. Co w takich sytuacjach mówią ludzie? No, kara Boska. Niektórzy mówią wprost. Zgrzeszył. Spalił się, bo zdradzał żonę, bo nie chodził do kościoła. Prosta sprawa. Ktoś żył nie po Bożemu i Pan Bóg go łup w główkę.

Inni mówią inaczej. „Wiesz, cierpisz, bracie, ale w niebie dostaniesz nagrodę. W niebie Pan Bóg ci to wszystko wynagrodzi". Niejeden człowiek, który jest sparaliżowany, leży bez czucia, bo ma na przykład złamany kręgosłup, powiedziałby: „Dziękuję za takie nagrody, które mnie w niebie czekają. Dziękuję. Wolę tu być zdrowy". I ja mu się wcale nie dziwię.

Jeszcze inni mówią: „Ale cię Pan Bóg musi kochać, skoro tak cierpisz. Pan Bóg krzyżuje tych, których kocha. I wiesz co jeszcze? Musisz być silny, skoro Pan Bóg ukrzyżował cię tak mocno. On tylko silnych krzyżuje". Gdyby rzeczywiście tak było, to wszyscy byśmy mówili: „Panie Boże, jestem taki słaby. Słaby jestem, Panie Boże, słabiutki, najsłabszy na osiedlu".

Są jeszcze tacy, którzy mówią, przychodząc do łóżka chorego, do szpitala, do człowieka, któremu amputowano nogę: „Wiesz, to jest tajemnica. To jest głęboka tajemnica. To jest niewytłumaczalne, dlaczego cię to spotkało". Przepraszam, ale ja dziękuję za takiego Pana Boga. Dziękuję za Pana Boga, który dotyka ludzi cierpieniami i mówi: „To tajemnica, dlaczego cię to spotkało". Mąż uderzył żonę w twarz i mówi:

„Tajemnica, wiesz... Kiedyś się wyjaśni, dlaczego cię huknąłem”. Nie, to jest fałszywe myślenie. Bóg taki nie jest.

Czytałem kiedyś o zakonniku, który miał wypadek – dachował samochodem, ale nic mu się nie stało. Wieczorem siedzi ze swoimi braćmi przy stole i mówi: „Żeby nie łaska Boża, tobym dziś już był w niebie”. Dobre, nie? Gdyby mnie Pan Bóg nie uratował, to byłbym w niebie. Takie jest nasze myślenie. „Jak to dobrze, że mnie Bóg uratował przed pójściem do nieba”.

Czy Pan Bóg zsyła cierpienia na ludzi, żeby się otrząsnęli? Nieraz mówimy, że tak: „No, Pan Bóg zesłał cierpienie, żebyś się otrzeźwił, żeby uratować cię od śmierci duchowej. To Pan Bóg dotknął cię cierpieniem”. Pytanie biblijne: czy Jezus kiedykolwiek dotknął kogoś cierpieniem? Czy Jezus powiedział do świętego Piotra: „Święty Piotrze, za to, co powiedziałeś pod Cezareą Filipową, trzy dni paki. A tobie, Ju-daszu, to nogę odetnie. Jak ci nogę odetnie, to zaraz zmiękniesz i ci się odechce zdrady”. Czy ktoś przyszedł do Jezusa z chorą nogą, a odszedł z dwiema chorymi? Czy Jezus zesłał na kogoś pożar, aby spalić mu dom? Czy gdziekolwiek w Biblii Jezus powiedział: „A tę prowincję zaleje woda”? Czy słyszeliście, żeby komukolwiek zesłał cierpienie?

Jezus nigdy nie obdarzył nikogo cierpieniem. Dlaczego więc mówimy, że Bóg tak robi? Skąd myśmy to wzięli? Odpowiedź na to pytanie jest dość prosta. Patrzymy na siebie nawzajem i nakładamy na Boga nasze filtry zachowań. To my nieraz obdarowujemy kogoś cierpieniem, żeby się opamiętał. Jezus przeszedł przez ziemię, czyniąc dobro. Jest światłością, a nie ma w Nim żadnej ciemności. Czy śmierć dziecka, nowotwór, wypadek samochodowy to jest jasność Chrystusa? Ktoś, kto doświadczył cierpienia, często mówi: „Proszę księdza, wszystko mi się zawaliło. Żona mi umarła,

dziecko w szpitalu, nic się nie układa. Jestem w ciemności cierpienia”. Czy takie okrutne cierpienie można nazwać światłością Chrystusa?

Czy ktoś przyszedł do Jezusa z chorą nogą, a odszedł z dwiema chorymi? Czy Jezus zesłał na kogoś pożar, aby spalić mu dom? Czy gdziekolwiek w Biblii Jezus powiedział: „A tę prowincję zaleje woda”? Czy słyszeliście, żeby komukolwiek zesłał cierpienie? Jezus nigdy nie obdarzył nikogo cierpieniem. Dlaczego więc mówimy, że Bóg tak robi?

Cytat z Pisma Świętego: „Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony”. Żeby świat został przez Niego uwolniony. Jezus chodził

i uzdrawiał, uzdrawiał, uzdrawiał. Likwidował głód, choroby, cierpienia. Nie dodawał ich. My nieraz mówimy: „No tak, ta tragedia miała sens. Miałem wypadek samochodowy, ale Bóg mi go zesłał, żebym się po nim zmienił. I tak się stało”. Nie mówmy tak! To nie jest działanie Boga.

Znane jest zapewne wszystkim nazwisko Josefa Mengelego, nazistowskiego lekarza, który w czasie drugiej wojny światowej robił w obozach śmierci potworne, okrutne badania na tysiąc pięciuset parach bliźniąt. Te badania w znacznym stopniu przyczyniły się do rozwoju genetyki. Czy można więc powiedzieć, że były dobre? Nie! Badania były złe. I oby nie było tych wyników rozwijających genetykę. Nie można powiedzieć, że skoro jest dobry skutek, to zło, które go spowodowało, było dobre. Niektórzy lekarze do dzisiaj mają moralne wątpliwości, czy korzystać z wyników badań doktora Josefa Mengelego, bo powstały w wyniku ogromnych cierpień ludzi. Cel nie uświęca środków, proszę państwa.

Pan Bóg stworzył świat i mówił, że świat jest dobry. To nie znaczy jednak, że jest bezpieczny.

Oczywiście, spotykają nas nieraz nieszczęścia. Możemy wyciągnąć z nich wnioski, które będą dla nas dobre, ale to nie znaczy, że te nieszczęścia zesłał na nas Bóg. On nigdy tego nie robi. Bóg nie zsyła cierpienia, by wydobyć dobro. Ktoś powie: „No dobrze. A susza? A tsunami? A pożary? A powodzie? Bóg przecież ma nad tym wszystkim władzę. My się do Niego modlimy, żeby zmienił decyzję, żeby uchronił nas od powodzi, ognia, powietrza i wody”. Pan Bóg stworzył świat i mówił, że świat jest dobry. To nie znaczy jednak, że jest bezpieczny. Można mieć wypadek samochodowy. Można spaść z Giewontu. Można się utopić

w jeziorze. I to się dzieje. Można się czymś zatruć. Może jeden człowiek zabić drugiego – to skutek grzechu pierworodnego. Świat jest dobry, ale nie jest bezpieczny. Powodzie były, są i będą. Pożary były, są i będą.

Dlaczego świat jest tak skonstruowany? Żebyśmy zapamiętali, że są na nim różne niebezpieczeństwa, i nauczyli się je omijać. Żebyśmy wiedzieli, że nasze wybory prowadzą do określonych konsekwencji. Żebyśmy wiedzieli, że nie wszystko pójdzie w życiu tak, jak to sobie zamierzyliśmy. Świat, w którym zdarzają się nieszczęścia, uczy nas ostrożności i czujności. Patrzymy w lewo i w prawo, gdy przechodzimy przez ulicę. Patrzymy, czy nie jest ślisko, idąc w zimie chodnikiem. Gdyby nie było cierpienia, upadków, złamanych rąk, w ogóle nie zwracalibyśmy na to uwagi. Bylibyśmy zarozumiali i zadufani w sobie.

Świat, w którym zdarzają się nieszczęścia, uczy nas ostrożności i czujności.

Pana Boga nie trzeba błagać, aby nie zsyłał na nas tych rzeczy. Pan Bóg to nie kapryśny Zeus, który wybijał ludzi, kiedy był wkurzony, a jak miał dobry humor, to ich obdarowywał. Ludzie rano wstawali, myśląc: „Ciekawe, jaki Zeus ma dzisiaj nastrój. Może trzeba dać mu jakąś ofiarę, żeby go przebłagać?”.

Pan Bóg jest zawsze nastawiony na dawanie nam dobra. Nie musimy co rano sprawdzać, w jakim jest humorze. On zawsze jest czułym Ojcem, który pragnie dla nas tylko dobra.

Pan Bóg jest zawsze nastawiony na dawanie nam dobra. Nie musimy co rano sprawdzać, w jakim jest humorze. On zawsze jest czułym Ojcem, który pragnie dla nas tylko dobra. To po co się modlić? W czasie modlitwy nie zmieniamy Boga, zmieniamy siebie. Święty Jakub napisał w swoim Liście: „Każde dobro, jakie otrzymujemy, i wszelki dar doskonały zstępują z góry, od Ojca świateł, u którego nie ma przemiany ani cienia zmienności”. Taki właśnie jest nasz Pan Bóg – w Nim „nie ma przemiany ani cienia zmienności”.

Modlimy się, żeby nauczyć się ufności do Pana Boga. O co więc mamy się modlić, skoro nie o ustanie pożarów czy uniknięcie powodzi? „Panie Boże, jeśli przyjdzie powódź albo pożar, daj nam odwagę i męstwo, żebyśmy pomagali sąsiadom. Daj, by ludzie mieszkający na terenach powodziowych zgromadzili różnego rodzaju sprzęty, które mogą się przydać, jeśli przyjdzie powódź. Urzędnikom daj mądrość, żeby nie dawali zezwoleń na budowy na terenach zalewowych. Ludziom daj siłę, solidarność, żeby nasza straż pożarna była mocna, żeby nasze wojsko było mocne, a nam daj otwarte serca, żebyśmy, gdy gdzieś wydarzy się tragedia, pospieszyli tam z pomocą”. Tak się trzeba modlić. My się mamy zmienić. Zmieniać nas mają różne kłopoty, które są na ziemi.

Claudia Wolff/Unsplash

Przeczytałem kiedyś w „Rzeczpospolitej” artykuł o supernowoczesnym samolocie amerykańskim F-35. Jeden taki samolot kosztuje aż sto pięćdziesiąt sześć milionów dolarów. Armia amerykańska zamówiła dwa tysiące dwieście takich maszyn. Ile podobnych będzie służyło wojsku w Chinach, we Francji, w Niemczech? A my mówimy: „Panie Boże, zrób coś, żeby dzieci nie głodowały”. To my mamy zmieniać ten świat. Gdyby pieniądze przeznaczone na jeden taki samolot poszły na Radom, Zieloną Górę czy Nowy Targ, można byłoby pobudować szpitale i domy dziecka. Właśnie o to powinniśmy się modlić. To my się powinniśmy zmieniać, nie Pan Bóg. Benedykt XVI w swojej pierwszej encyklice, *Deus caritas est*, napisał: „Chrześcijanin, który modli się, nie chce zmieniać planów Bożych czy korygować tego, co Bóg przewidział. Pragnie czegoś więcej, spotkania z Ojcem Jezusa Chrystusa, prosząc, aby On był obecny z pociechą Ducha w nim i w jego pracy”.

„Chrześcijanin, który modli się, nie chce zmieniać planów Bożych czy korygować tego, co Bóg przewidział. Pragnie czegoś więcej, spotkania z Ojcem Jezusa Chrystusa, prosząc, aby On był obecny z pociechą Ducha w nim i w jego pracy”.

Ojciec Jacek Salij powiedział kiedyś: „Bóg nie lubi naruszać naturalnego biegu rzeczy – ani praw fizyki i biologii, ani praw rządzących dobrem i złem. Nie lubi nie dlatego, że ma takie widzimisię, ale dlatego, że jest Miłością i drogą cierpliwej miłości – bez zewnętrznych nacisków – prowadzi świat do zbawienia. Ostateczne jednak dno bytu należy bezwzględnie do Boga i dlatego żaden zbrodniarz, nawet szatan, nie może bez mojego udziału wyrządzić mi krzywdy ostatecznej, nie może zabić

mojej duszy”. Bóg nie ma upodobania w naruszaniu naturalnego biegu rzeczy. Bóg chce, żebyśmy się zmieniali. I w tym naturalnym biegu rzeczy, który nam dał, żebyśmy wzrastali w świętości.

My nieraz modlitwą chcemy załatwić, żeby Pan Bóg coś za nas zrobił, ale On nie byłby dobrym Ojcem, gdyby ulegał naszym prośbom. Przecież mądry rodzic nie wykonuje prac i obowiązków za dzieci, tylko uczy je za nie odpowiedzialności. Jakaś niewiasta, będąca tak zwanym singlem, może się modlić: „Panie Boże, daj mi męża”, i wyobrażać sobie, że pewnego dnia do jej drzwi zapuka listonosz:

– Przyniosłem pani polecony.

– A ile pan ma lat?

– Pięć więcej od pani.

– A ile pan zarabia?

– Osiem tysięcy.

– A jakie kobiety się panu podobają?

– Takie jak pani.

– A ożeni się pan ze mną?

– No właśnie na to czekam.

Siedziałam w domu, listonosz przyszedł, no i jestem żoną listonosza. To, proszę państwa, tak nie działa. Pan Bóg mówi: „Świat jest, jaki jest. O męża dobrego trudno, trudno o dobrą żonę. Musisz się naprawdę napracować”.

Niejedna kobieta i niejeden mężczyzna nie pracują nad sobą – i to nie tylko w kwestii znalezienia partnera, lecz także w wielu innych dziedzinach. Pan Bóg nie będzie działał za nas. To my musimy wyjść z pychy i przestać narzekać.

Lepsze jest życie pełne trudów, szarpania się i niepokojów, jeśli tylko prowadzi do otwartości, niż to, które jest ułożone – porządeczek, koszule na tej, kalesonki na tamtej półce, płyty tutaj, wszystko posprzątane – ale zamknięte na ludzi: nikogo nie potrzebuję, nikomu nie jestem potrzebny. Naprawdę lepsze są szarpania i kłopoty, bo one przynajmniej nas rozwijają.

Świat jest, jaki jest. O męża dobrego trudno, trudno o dobrą żonę. Musisz się naprawdę napracować.

Bóg dał nam świat piękny i niebezpieczny. Już w raju był ból, Adam miał przecież odpowiednie receptory i czuł, gdy stanął na ostrym kamieniu. Nie było tam za to cierpienia. Adam był szczęśliwy aż do momentu, w którym nastąpiła zdrada Lucyfera. Anioła, który miał się opiekować ludźmi, a zamiast tego przeszedł na wrogą nam stronę. Pamiętam, jak będąc w szkole podstawowej, szturchałem kumpla na religii i mówiłem: „Zapytaj księdza, dlaczego Bóg nie zabije diabła”. Miałem wtedy z czternaście lat. „Bo Bóg nie zmienia reguł w czasie gry” – usłyszeliśmy w odpowiedzi.

Już w raju był ból, Adam miał przecież odpowiednie receptory i czuł, gdy stanął na ostrym kamieniu. Nie było tam za to cierpienia.

Czy Pan Bóg nie mógłby tak zmienić świata, żeby wszyscy mieli kasę, zdrowie, urodę i nie cierpieli? Pewnie by mógł, ale tego nie zrobi. Dlaczego? Każdy rodzic chciałby, żeby jego dziecko było prymusem. Nic prostszego. Wystarczy przenieść swoją pociechę do szkoły specjalnej – od jutra posypią się piątki i szóstki. „Niech ksiądz nie żartuje, do jakiej

specjalnej? Ja chcę, żeby ona była prymuską w zwykłej szkole”. Pan Bóg też nie chce nas przenosić do szkoły specjalnej, chce, żebyśmy skończyli normalną szkołę życia. Nie taką, w której pokrzywy od jutra przestają parzyć, wilki zaczynają jeść kapustę, a kredyty w bankach są nieoprocentowane.

Pan Bóg nie ułatwił nam życia, pozostawił nas w świecie, w którym jest demon. Będziemy wielcy, jeśli pokonamy demona Bożą mocą, a Pan będzie z nami. Pan Bóg zaryzykował, stwarzając nas i umieszczając na tym świecie, i dał nam tym przykład. Czy wy nie ryzykujecie, biorąc ślub? Czy rodząc dziecko, nie ryzykujecie? Czy idąc na uczelnię, nie ryzykujecie? Wszystko to jest ryzykiem, ale my w tym ryzyku wzrastamy. To jest piękne i to czyni nas pięknymi. Pamiętajmy o tym, kiedy klękniemy do modlitwy błagalnej. Pamiętajmy o tym, kiedy klękniemy do modlitwy, chcąc prosić, by Pan Bóg coś nam w życiu pozmieniał. Pamiętajcie, że to my mamy się zmieniać Jego mocą.

I pamiętajcie: Bóg nigdy nie zsyła na nas cierpienia. Ono po prostu jest na świecie.

Lina Trochez/Unsplash

NADZIEJA

> „Zaraz [Jezus] też przynaglił uczniów, żeby wsiedli do łodzi i wyprzedzili Go na drugi brzeg, zanim odprawi tłumy. Gdy to uczynił, wyszedł sam jeden na górę, aby się modlić. Wieczór zapadł, a On sam tam przebywał.
>
> Łódź zaś była już sporo stadiów oddalona od brzegu, miotana falami, bo wiatr był przeciwny. Lecz o czwartej straży nocnej przyszedł do nich, krocząc po jeziorze. Uczniowie, zobaczywszy Go kroczącego po jeziorze, zlękli się, myśląc, że to zjawa, i ze strachu krzyknęli. Jezus zaraz przemówił do nich: «Odwagi! Ja jestem, nie bójcie się!». Na to odezwał się Piotr: «Panie, jeśli to Ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie!».
>
> A on rzekł: «Przyjdź!». Piotr wyszedł z łodzi i krocząc po wodzie, przyszedł do Jezusa. Lecz na widok silnego wiatru uląkł się i gdy zaczął tonąć, krzyknął: «Panie, ratuj mnie!». Jezus natychmiast wyciągnął rękę i chwycił go, mówiąc: «Czemu zwątpiłeś, małej wiary?». Gdy wsiedli do łodzi, wiatr się uciszył. Ci zaś, którzy byli w łodzi, upadli przed Nim, mówiąc: «Prawdziwie jesteś Synem Bożym»”.
>
> **Mt 14, 22–33**

Ten fragment Ewangelii opisuje wydarzenia, które miały miejsce zaraz po tym, jak Chrystus rozmnożył pięć chlebów i dwie ryby, dzięki czemu nakarmił pięć tysięcy mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci, a po wszystkim zostało mu jeszcze dwanaście koszy ułomków. To było coś nieprawdopodobnego.

My doświadczamy czegoś podobnego, gdy na jakimś festynie rozdają za darmo bułeczki albo serki reklamowe. Dostanie czegoś od kogoś nie jest

dla nas więc aż tak szokujące. Ale wtedy? Ludzie nie byli tak zamożni jak dzisiaj. Żywność nie była tak dostępna. Każdy kawałek chleba to był skarb. Jezus tymczasem zaprosił na obiad pięć tysięcy mężczyzn plus kobiety i dzieci, więc pewnie kolejnych pięć tysięcy osób. Nakarmił do syta. Czy potraficie sobie wyobrazić, w jakiej euforii musiał być zgromadzony tam lud? Po prostu szalał. „Jeśli obwołamy Go królem, będziemy mieli już tak zawsze. Nareszcie przyszedł Mesjasz. Nareszcie przyszedł ktoś, kto ma moc".

Pomyślcie, w jakiej euforii byli uczniowie. „Nareszcie my, uczniowie rozdający ten chleb, jesteśmy wielcy". Takie hojne obdarowywanie kogoś jest niesamowitym doświadczeniem. Jakiś czas temu ksiądz Bogdan Bartołd w Boże Ciało postawił przed kościołem stół, a na nim położył prawdziwe bochenki chleba. Zamówił ich w piekarni kilkaset. Po procesji zachęcaliśmy wszystkich, aby zabrali je ze sobą do domu. Ja i kilku księży staliśmy na podwyższeniu i rozdawaliśmy te bochny. Wciąż mam w głowie to uczucie: ja na podwyższeniu, ludzie podchodzą i wyciągają ręce.

Chleba zabrakło oczywiście po pięciu minutach, ale i tak pozwoliło nam to zrozumieć, jak mogli czuć się apostołowie. Nareszcie triumf. Po rozmaitych naukach o krzyżu, o wyrzeczeniu, o zaparciu się siebie nareszcie doświadczają czegoś po ludzku miłego. I co się stało? Gdy tylko tłum został nasycony, Jezus przynaglił uczniów, żeby wsiedli do łodzi i odpłynęli. On wie, co się dzieje. Sytuacja jest niebezpieczna. Apostołowie przeżywają wielki sukces, a to sprawia, że są w wielkim zagrożeniu. „Panie Jezu, teraz? Teraz, kiedy chcą nas nosić na rękach? Kiedy patrzą na nas jak na nie wiadomo kogo? Teraz każesz nam odpłynąć?" Wiecie, jaką minę ma dziecko, gdy się je wyprowadza ze sklepu z zabawkami. Myślę, że podobną mieli wtedy apostołowie. Jezus wie jednak, jak niebezpieczny jest sukces.

Ciągle tęsknimy do sukcesów, a tymczasem są one bardzo zdradliwe. Przypomnijmy sobie, ile razy w życiu, świętując sukces, nieźleśmy narozrabiali.

Ciągle tęsknimy do sukcesów, a tymczasem są one bardzo zdradliwe. Przypomnijmy sobie, ile razy w życiu, świętując sukces, nieźleśmy narozrabiali. Oblewanie matury, oblewanie dyplomu. Poszliśmy w tango na Stare Miasto. Matka się wkurzyła. Policja nas legitymowała.

Kiedy jest się pięknym, kiedy odnosi się sukcesy, kiedy wszyscy nas chwalą, wtedy szatan ma do nas ułatwiony dostęp. Jezus zdawał sobie z tego sprawę i właśnie dlatego powiedział: „Apostołowie, zmykać stąd. Szybciutko, bo wam się w głowach poprzewraca. Pycha was rozsadzi od środka”. Co było dalej? Gdy Jezus odprawił tłumy, wyszedł na górę, aby się modlić. Wieczór zapadł, a On był tam sam. Długo się modlił, bo szatan zapewne i do Niego przyszedł, i Jego nęcił. „No zobacz, Panie Jezu, jak oni Cię kochają. Daj im tego chleba, daj im tego złota, daj im tej wody, daj im tych ryb. Oni będą Cię wielbić bez konieczności składania jakiejkolwiek ofiary. Nie będziesz musiał iść na krzyż, założysz sobie nową religię”.

Nas szatan też kusi w bardzo podobny sposób. To on mówi nam: „Bądź dobrym, przyzwoitym człowiekiem. Tyle wystarczy. Po co ci ten Kościół?”. Znamy to przecież z życia. Nieraz mówimy, że mamy sąsiada, który, co prawda, do kościoła nie chodzi, ale to taki dobry, przyzwoity człowiek, taki uczynny i życzliwy. To po co ten Kościół? A chcesz być zbawiony? Chcesz żyć wiecznie? No to masz odpowiedź. Chyba że chcesz przeżyć tylko pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat jako dobry, przyzwoity, uczynny człowiek. Wtedy, owszem, Kościół nie jest do niczego potrzebny. Szatan chce, abyśmy zatrzymali się na tym ostatnim przeświadczeniu. „Kto ci mówi, że

masz grzeszyć? Kochaj jednego męża, uczciwie pracuj. Tylko po co ci te modlitwy? Po co ci to wszystko?”

Domyślam się, że Jezus w czasie swojej samotnej modlitwy na górze musiał toczyć w sobie wielką bitwę. On też był przecież człowiekiem. Wprawdzie wolnym od grzechu, ale zawsze człowiekiem, a ludziom grozi pycha. Gdy widział te uradowane, szczęśliwe tłumy... Ewangelia dwa razy powtarza, że Jezus stał przed Bogiem sam. Dlaczego to takie ważne? Bo my, idąc na modlitwę, nieraz niesiemy ze sobą różnych ludzi. Żona idzie się modlić i męża tacha w głowie. Klęka przed Najświętszym Sakramentem i cały czas się z tym mężem w myślach kłóci: „Jak wrócę do domu, to mu tak wygarnę, Panie Jezu. Albo nie, może nie, może go pogłaszczę”. Klęczy przed Jezusem, a gada z mężem. Myślimy w czasie modlitwy o dzieciach, o ludziach, których spotykamy w pracy. Niektórzy biorą na modlitwę książki jakichś myślicieli. Klękają przed Panem Jezusem i rozmyślają o ich treści.

Są ludzie, którzy nigdy nie stanęli sam na sam z Bogiem. Bez żadnych pomocniczych rozmyślań, wspomnień, planów, analiz czy ocen. Sam na sam.

Stałeś kiedyś sam „nago” przed Bogiem? Chodzi mi o taką sytuację, w której nie zabrałeś na modlitwę nic, żadnych spraw, tylko swoją wolę. Czy modliłeś się kiedyś z otwartością na to, że możesz usłyszeć odpowiedzi na pytania: „Czego chcesz?”, „Czego pragniesz?”, „Kim jesteś?”, które cię zaskoczą? Są ludzie, którzy nigdy nie stanęli sam na sam z Bogiem. Bez żadnych pomocniczych rozmyślań, wspomnień, planów, analiz czy ocen. Sam na sam.

Aaron Burden/Unsplash

Gdy Jezus się modlił, apostołowie wypłynęli na jezioro. On przyszedł do nich o czwartej straży nocnej, krocząc po wodzie. Zupełnie się tego nie spodziewali. Może jeszcze gdyby jakimś sposobem ich wyprzedził, czekał na nich na przeciwległym brzegu, ale że przyjdzie z tyłu i w środku nocy? Przerazili się. My też często sobie planujemy, kiedy Jezus ma do nas przyjść. „Między piątym a czternastym sierpnia idę w pielgrzymce do Częstochowy, wtedy Jezus będzie do mnie mówił". „Idę do kościoła. Teraz, Jezu, będziesz do mnie mówił przez godzinę, między piętnastą a szesnastą". Planujemy, kiedy przyjdzie do nas Jezus. Dobry, miły, łagodny, pobożny, religijny i kolorowy. A Jego przyjście poznamy po tym, że zrobi się nam miło.

Jezus przychodzi nie z tej strony i nie o tej godzinie, o której się Go spodziewamy. Musimy być zawsze gotowi na Jego przyjście.

To jednak tak nie działa. Jezus przychodzi nie z tej strony i nie o tej godzinie, o której się Go spodziewamy. Musimy być zawsze gotowi na Jego przyjście, a nie tylko między piętnastą a szesnastą i między piątym a czternastym sierpnia.

Gdybym zapytał kogokolwiek, jak wyobraża sobie Jezusa, na pewno usłyszałbym, że jest On piękny. Co jednak mówi o nim Ewangelia? „Zlękli się, myśląc, że to zjawa". Zjawa. Straszydło. Jezus może do ciebie przyjść nie od tej strony, nie o tej godzinie, o której się go spodziewasz, jako straszydło. Aż krzykniesz, aż wrzaśniesz. Jezus jest mistrzem zaskakujących sytuacji, dlatego mówi: „Czuwajcie więc, bo nie wiecie, w którym dniu Pan wasz przyjdzie".

Dziewczyna modli się w pokoju, świeczki sobie zapaliła:

– Panie Jezu, co ja mam teraz uczynić w życiu?

A matka woła:

– Idź po kartofle.

– Oj, wiesz co, mamo? Daj spokój. Ja się teraz modlę, a ty mi tutaj takie teksty.

A Jezus mówi: „Idź po kartofle. Nikogo nie kochasz. Myślisz tylko o sobie".

Jezus może zadzwonić do ciebie dzisiaj o dwudziestej trzeciej trzydzieści i będzie miał głos twojej starej cioci, która ma sklerozę i chciała zapytać, czy nie pamiętasz, gdzie położyła swoje zęby. W sąsiedzie, który powie: „Ale pan brudzi na klatce", też może przyjść Jezus. Naprawdę.

My chcemy mieć nad Nim kontrolę. Chcemy przybić sobie do futryny tabliczkę: „Panie Jezu, przyjmuję we wtorki i środy od szesnastej do osiemnastej. Pamiętaj, jak masz być ubrany i co masz mi powiedzieć”. My ciągle wyglądamy Jezusa niosącego pokój, dobro, radość i miłość. A bałagan, upokorzenie, zawierucha życiowa? Miłość przychodzi z krzyża. To nie znaczy jednak, że chrześcijaństwo jest religią masochistów. Wręcz przeciwnie, ale Jezus musi nas wytrącić z równowagi.

W środku nocy na środku jeziora Piotr patrzy na tę zjawę, to straszydło, które ukazało się apostołom, i nie wie, czy to Jezus. Mówi: „Panie Jezu, jeśli to jesteś Ty – chcę to sprawdzić”. Nie ma w tym nic dziwnego. Co my byśmy zrobili? Co powiedzieli? „Panie Jezu, zaśpiewaj jakąś piosenkę, którą tylko my znamy, albo powiedz coś, co tylko Ty możesz wiedzieć. O czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem?” Piotr wybiera jednak absolutnie zaskakujący sposób na sprawdzenie, czy rzeczywiście ma do czynienia z Jezusem. „Jeśli to Ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie!” Wiecie dlaczego? Bo tylko Jezus ma taką władzę. Nawet diabeł takiej nie ma.

To jest przedmiot naszych marzeń: mieć władzę. Nie dla upokarzania innych, ale dla opanowywania trudnych sytuacji. Żona szaleje, cała w emocjach, od rana chodzi wkurzona, wszystko huczy. „Gosiu, uspokój się”. Jeśli jesteś Bożym wojownikiem, to ona się uspokoi.

Kiedy jesteś najbardziej pewny, że odniosłeś sukces, twój sukces jest najbardziej zagrożony.

Piotr idzie po wodzie. Niestety, finał tej próby nie wypadł najlepiej, Piotr zaczyna tonąć. Zwróćcie jednak uwagę, kiedy zaczął tonąć. Ewangelia mówi wyraźnie: Piotr wyszedł z łodzi i krocząc po wodzie, przyszedł do

Jezusa. Przyszedł, rozumiecie? Już doszedł. Na widok silnego wiatru uląkł się jednak i zaczął tonąć. To niebezpieczny moment. Przyszedłeś do Jezusa, spotkałeś się z Nim, czułeś, że już jesteś u celu, i zdekoncentrowałeś się. Dziewięćdziesiąta minuta meczu, wygrywałeś jeden zero, już ręce do góry podnosiłeś, wbili ci bramkę. Dekoncentracja. Kiedy jesteś najbardziej pewny, że odniosłeś sukces, twój sukces jest najbardziej zagrożony.

Co ratuje Piotra? Gdy zaczął tonąć, krzyknął: „Panie, ratuj”. Gdy zaczął tonąć – to istotne, zrobił to na samym początku. Ktoś mówi tak: „Ostatnie trzy miesiące coś popijam. Codziennie impreza, codziennie okazja, ale nie jestem alkoholikiem. Nie, nic się nie dzieje. Wyjdę z tego bez problemu. Nie potrzebuję niczyjej pomocy. Sześć miesięcy piję, no, trochę już za dużo. Jeszcze takiego ciągu nie miałem, ale nie potrzebuję iść do księdza, jeszcze nie czas na spowiedź. Poradzę sobie, przecież z tego wyjdę”. W ten sposób przegrywa.

Dlaczego Piotr wygrał? Bo krzyknął, gdy tylko zaczął tonąć.

Dlaczego Piotr wygrał? Bo krzyknął, gdy tylko zaczął tonąć. Mógł kalkulować, najpierw próbować samemu coś wskórać. „Nie poradzę sobie? Przecież nieraz pływałem z chłopakami. Trzy minuty na jednym wdechu pod wodą. Mam dobre osiągi. Nie no, wstyd tak od razu krzyczeć. Poczekajmy na rozwój sytuacji”. Nie. Nie zrobił tego. Gdy zaczął tonąć, krzyknął: „Jezu, ratuj”. Przy wszystkich. Często mówimy o Piotrze jako o pysznym człowieku, ale tu wykazał się pokorą. Nie powiedział: „Jezu, odpłyńmy na bok trochę, żebym cię mógł poprosić o pomoc. Tu, wiesz, koledzy patrzą. Głupio będzie”.

Jest wielu ludzi, którzy toną. Są wyczerpani, już im zupełnie brakuje powietrza, ale ciągle twierdzą, że jeszcze coś wykombinują. Ile razy jest tak, że lekarz mówi: „Żeby pani do mnie z tym guzem przyszła rok temu”? Pamiętajcie, nie czekajcie, aż będzie za późno. Jezus natychmiast wyciąga rękę, kiedy tylko Go zawołacie. Ale tylko wtedy. Jezus podaje rękę tym, którzy krzyczą.

Wielu ludzi upada, bo nie formują swojej wiary. Próbują coś tam raz na jakiś czas w domu poczytać, czegoś posłuchać, ale żeby iść na formację do wspólnoty? Co to to nie.

Uratowany Piotr, cały mokry, jeszcze może plujący tą wodą, od razu usłyszał takie pytanie: „Dlaczego zwątpiłeś?”. Różne są odpowiedzi w naszych sercach. Dlaczego zwątpiłeś na ostatniej imprezie? Dlaczego zwątpiłeś, siedząc w internecie? Dlaczego zwątpiłeś podczas rozmowy z matką? Dlaczego we mnie zwątpiłeś? Wielu ludzi wątpi, bo tak naprawdę nigdy nie spotkali Jezusa. Przychodzą do kościoła, modlą się, ale nie są z Jezusem. Są ze swoimi myślami.

Wielu ludzi upada, bo nie formują swojej wiary. Próbują coś tam raz na jakiś czas w domu poczytać, czegoś posłuchać, ale żeby iść na formację do

wspólnoty? Co to to nie. „Nie, proszę księdza, ja się do tego nie nadaję”. Wielu ludzi upada, bo myśli ciągle o sobie. Myślisz o tym, co realne. Nie próbujesz uwierzyć.

Jeśli wierzysz, to chodzisz po wodzie. Dla Żydów woda, głębiny morskie były symbolami piekła. Oni nigdy nie byli marynarzami, nie pływali po morzach. To był naród wyjątkowo lądowy. Dla nich woda była czymś obcym, nieznanym. Oczywiście łowili ryby, ale przy brzegu. Jeśli wierzysz, będziesz chodził po powierzchni piekła i nie zostaniesz przez nie wciągnięty. Pokusy są wszędzie, piekło jest wszędzie, ale jeśli wierzysz...

Mam wrażenie, że ludzie często boją się, że jeśli będą żyli bez grzechu, po Bożemu, to będą się nudzić. Małe dzieci też myślą, patrząc, jak tatuś je na przykład golonkę, że coś takiego nigdy nie będzie im smakować. My ciągle jesteśmy jak te dzieci. „Jak to, bez grzechu mam sobie żyć? Wieczory bez piwka, bez internetu, bez kradzionych płytek? To jak ja będę żył? Proszę księdza, ksiądz przecież zna życie”.

Będziesz żył bez grzechu. Będziesz żył czysty. Będziesz żył święty. Dopiero wtedy poczujesz smak życia.

Będziesz żył bez grzechu. Będziesz żył czysty. Będziesz żył święty. Dopiero wtedy poczujesz smak życia. Szatan jest mistrzem iluzji i to on mówi nam, że jest życie poza Bogiem. To nieprawda! Poza Bogiem nie ma życia. Szatan jednak potrafi tak przystroić grzech, tak go polakierować, tak obłożyć kwiatami, tak go sreberkiem posypać, jakimiś cekinami obkleić, że my na niego patrzymy i mówimy: „Tak, seks z tą kobietą to będzie życie. Jaki ja będę wtedy szczęśliwy”. „Jak już te pieniądze zdobędę, nieważne, że

kradnąc, to wreszcie będę żył, jak należy”. Ilu z nas już to przerabiało? Potem jest tylko płacz i zgrzytanie zębów.

Szatan jest mistrzem świata w przekonywaniu nas, że poza Bogiem jest życie. Kto się na to nabiera, zachowuje się jak ćma. Wpada przez okno do rozświetlonego pokoju i spala się po zetknięciu z żarówką. Ile razy tak było? Samogwałt da mi szczęście, pornografia da mi szczęście. Spalasz się jak ćma. Ta nowa koleżanka da mi szczęście. Uzależnianie od siebie ludzi da mi szczęście. Skrzydła masz coraz bardziej popalone.

W mojej pracy duszpasterskiej wstrząsnęło mną kiedyś pewne wydarzenie. Zadzwonił do mnie jeden pan, któremu się sypało małżeństwo, i powiedział, że chce ze mną porozmawiać. Proszę bardzo. Umówiliśmy się u Świętej Anny w Warszawie. Przyjechał. Biedak, noga w gipsie. Złamał ją parę dni wcześniej, jeszcze nie do końca umiał chodzić o kulach, brat go przywiózł. Wszedł po schodach, usiadł do rozmowy, a brat siada obok. Trochę mnie to zdziwiło, ale widzę, że oni są w takiej dobrej, życzliwej relacji, więc uznałem, że skoro ten pan brata nie wyprosił, to chyba chce przy nim rozmawiać.

– No to co tam się dzieje? – pytam.

– A, proszę księdza, żona mnie rzuca. Rozwodu chce.

– To co pan tak narozrabiał?

– Nie no, aż tak to nie. No, zdarzyło mi się kilka razy być niedobrym...

– Ty powiedz lepiej księdzu, jak pijany wracałeś – wtrąca się na to brat. – Powiedz, jakeś żonę brał za włosy i jej głową waliłeś o ścianę.

– No, było tak nieraz – przyznał mój rozmówca.

– No, a co pan teraz robi? Czy stara się pan jakoś naprawić te krzywdy? – dopytuję.

– No, smutny jestem. Taki rozbity.

– Ty lepiej powiedz księdzu, że otwierasz okno i mówisz żonie, że wyskoczysz z piętnastego piętra, jeśli do ciebie nie wróci – znów wtrącił się brat.

– No, nieraz i tak bywa – przyznał ten pan.

Olśniło mnie. Gdybym ja rozmawiał tylko z tym jednym gościem, to on by mi opowiedział zupełnie inną historię o tym małżeństwie. O czym to świadczy? Że często nie musimy sami radzić sobie z wołaniem o Bożą pomoc, że nasi bliscy nieraz będą o nią wołać razem z nami. Oczywiście, jeśli tylko im na to pozwolimy.

Niedawno po raz szósty obejrzałem film *Piękny umysł*. Genialny. Główny bohater ma schizofrenię i widzi różnych ludzi, którzy tak naprawdę nie istnieją. Jego żona pyta lekarza:

– Panie profesorze, co się z nim dzieje? Jak mu powiedzieć, że tych ludzi tu nie ma?

– Proszę pani – odpowiada on – a gdyby ktoś pani powiedział, że pani matka lub dziecko nigdy nie istnieli, jak by pani zareagowała?

To nie była odpowiedź, której spodziewała się kobieta. W jednej z następnych scen ona siedzi na łóżku i zastanawia się, co ma robić. Mąż klęczy przy jej nogach. W pewnym momencie ona bierze jego rękę, dotyka nią swoich włosów i mówi: „Zobacz, to jest naprawdę. Widzisz?”. Kładzie jego rękę na swojej piersi i mówi: „Zobacz, to jest naprawdę. Miłość jest naprawdę”.

On naprawdę umarł. On naprawdę nas kocha. To jedyna rzecz na świecie, której możesz być pewien. Wszystko inne może być złudzeniem.

My przychodzimy do Chrystusa i pytamy: „Jezu, co jest naprawdę, a co mi się tylko zdaje?”. On bierze twoją rękę, kładzie ją na krzyżu i mówi: „To jest naprawdę”. On naprawdę umarł. On naprawdę nas kocha. To jedyna rzecz na świecie, której możesz być pewien. Wszystko inne może być złudzeniem.

Szatan zaczął od kłamstwa. Ewa w nie uwierzyła i zaczęła z Adamem kłamać. To jest właśnie grzech pierworodny – kłamstwo. Oszukujemy się, dajemy się oszukiwać, chcemy być oszukiwani, chcemy oszukiwać. Po pewnym czasie naprawdę nie wiemy, czy ten mój ojciec był dobry, czy niedobry. Czy moja matka była dobra, czy niedobra. Tylko Jezus może ci to powiedzieć. Czy ja jestem dobry, czy gram już nawet przed sobą? Kim jestem? Idź do Jezusa, On położy twoją rękę na krzyżu i powie: „Patrz, Ja za ciebie umarłem. Widzisz te gwoździe? Jesteś dobry. Nie dlatego, że tak ci się wydaje, że ci tak kumpel powiedział, że wszyscy mówią, że jesteś superfacet. Patrz na te gwoździe, czytaj tę Ewangelię. Jeśli puścisz Ewangelię, to zaczynasz iść przez życie niczym pijany we mgle”.

Jezus mówi: „Przyjdź, chodź do Mnie, ale idź drogą wiary. Nie drogą ludzkiej logiki”. Będą cię nazywać głupcem, idiotą. Szatan będzie ci mówił, że jesteś starodawna, staroświecka, śmieszna. Będą się na ciebie wkurzać, pytać, co ty wyrabiasz, wyzywać od dewotek. Nie schodź jednak z drogi, którą wskazuje Chrystus. Tylko na niej jest nadzieja na wyjście z labiryntu życia. Tylko wiara może cię ocalić. Gdy tylko zaczniesz tonąć, krzyknij: „Panie, ratuj!”.

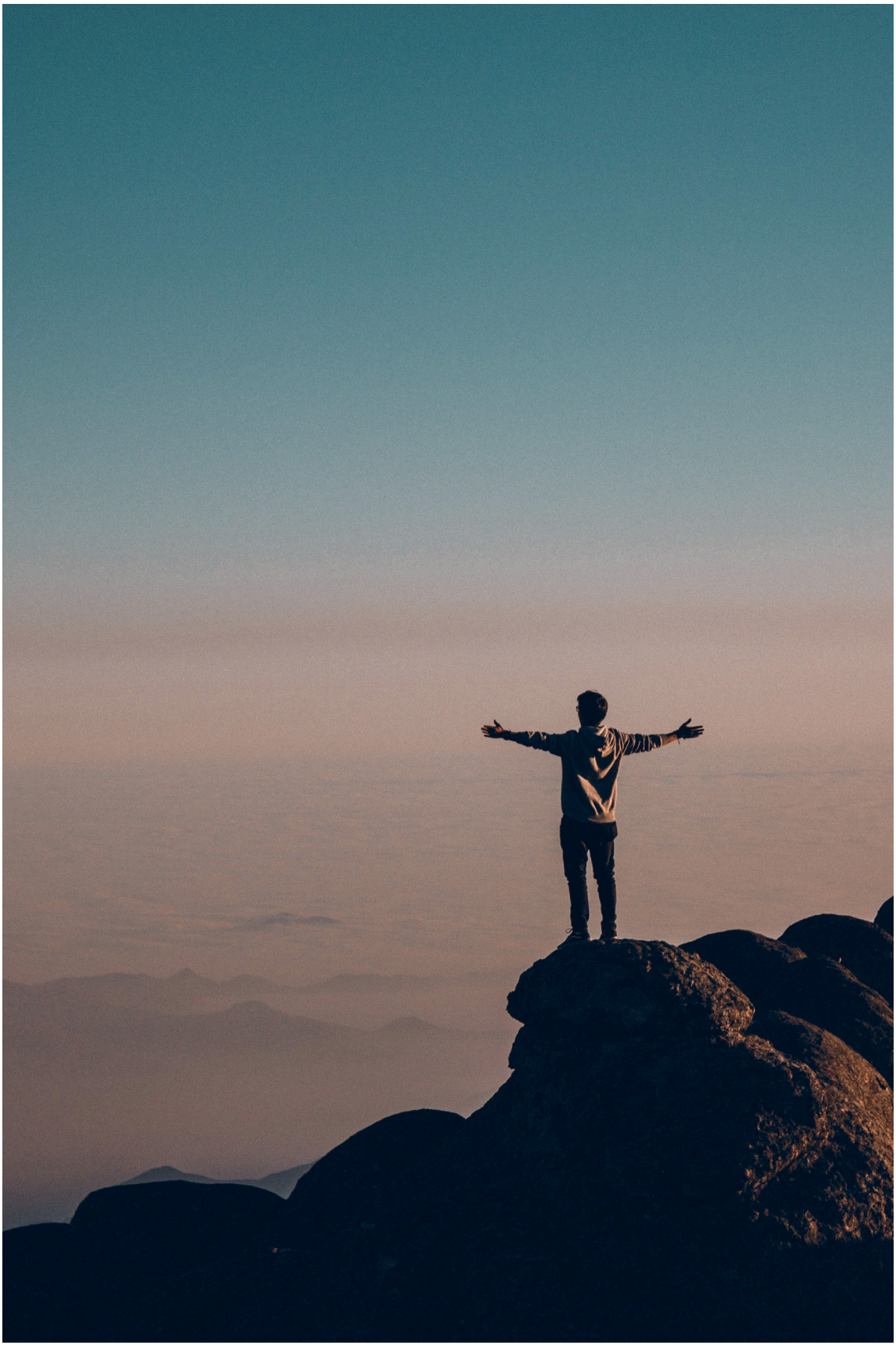

Junior Moran/Unsplash

WOLNOŚĆ

> „Wtedy powtórnie wszedł Piłat do pretorium, a przywoławszy Jezusa, rzekł do Niego: «Czy Ty jesteś Królem Żydowskim?». Jezus odpowiedział: «Czy to mówisz od siebie, czy też inni powiedzieli ci o Mnie?».
>
> Piłat odparł: «Czy ja jestem Żydem? Naród Twój i arcykapłani wydali mi Ciebie. Coś uczynił?».
>
> Odpowiedział Jezus: «Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd».
>
> Piłat zatem powiedział do Niego: «A więc jesteś królem?».
>
> Odpowiedział Jezus: «Tak, jestem królem. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu»”.
>
> **J 18, 33–37**

Ewangelia czyni nas świadkami rozmowy Poncjusza Piłata, namiestnika rzymskiego, z Chrystusem. To bardzo ciekawa rozmowa. Odbyła się taka tylko jedna. Wprawdzie Chrystus nie spotkał się w niej z cesarzem, ale Piłat to już absolutny hit wśród władających tamtym światem. No i reprezentował samego władcę Rzymu, największą potęgę, jaka istniała.

Nie znam realiów historycznych, ale można się domyślać, że Piłat w czasie tej rozmowy zasiadał na jakimś tronie, a pewne jest, że przyjmował Chrystusa w pięknej sali. Bez wątpienia miał po bokach żołnierzy i strażników, a na rękach pierścienie. Chrystus za to był zmaltretowany, po torturach. Wyglądał jak wrak człowieka.

Patrząc po ludzku, nikt nie ma wątpliwości, kto w tej relacji był górą, kto zwyciężał, kto dominował. To Piłat mógł powiedzieć: ukrzyżować, zabić, zamordować, torturować dalej. Mógł z Jezusem zrobić wszystko. Spójrzmy jednak na tę sytuację z innej perspektywy.

Może ktoś z was widział film *Miasto ślepców*? Scenariusz jest prosty. Na świecie rozprzestrzenia się zaraza, która sprawia, że wszyscy ludzie tracą wzrok. Taka choroba prowadzi do totalnej katastrofy cywilizacyjnej. Ludzie nie są w stanie obsługiwać komputerów, jeździć samochodami ani czytać. Lekarze nie mogą przeprowadzić żadnych badań. Po kilku tygodniach, kiedy utrata wzroku jest już masowa, miasta zamieniają się w pola bitew. Po ulicach chodzą hordy niewidomych ludzi, którzy trzymają się za ręce i biją się między sobą o jedzenie z supermarketów. Historia oczywiście ma jakieś rozwiązanie, ale nie chcę go niepotrzebnie zdradzać, tym bardziej że nie o nie mi chodzi.

Oglądając ten film, pomyślałem sobie, co by było, gdyby rzeczywiście wszyscy ludzie nagle stracili wzrok. W pierwszej kolejności na pewno nastąpiłoby mnóstwo zgonów. Jedzenie z supermarketów prędzej czy później by się wyczerpało. Wodociągi przestałyby działać. W miastach usłanych trupami, których nikt nie potrafiłby pogrzebać, rozprzestrzeniałyby się choroby. Myślę, że ludzkość mogłaby ocaleć tylko poza miastami, w regionach bogatych w przyrodę – mam na myśli miejsca, gdzie rosną owoce na krzaczkach, są strumyki – i znajdujących się w klimacie, w którym nie można zamarznąć.

Wyobraźmy sobie, że gdzieś na takim świecie ocaleje plemię ludzi. Na co dzień żywią się oni jakimiś żabkami, jaszczurkami, piją wodę ze strumieni, mieszkają w grotach i – załóżmy – z pokolenia na pokolenie rodzą się już jako niewidomi. Trwa to sto lat, dwieście, trzysta. Powoli

zaciera się pamięć o tym, co było. Niektórzy mówią, że podobno kiedyś ludzie widzieli, ale nawet oni zaczynają już mieć co do tego wątpliwości.

Pojawia się podstawowy problem – nikt nie wie, co to znaczy widzieć. Głosząc różne kazania, nieraz mówiłem: spróbujcie wytłumaczyć niewidomemu od urodzenia, czym się różni kolor zielony od niebieskiego. Ale teraz mnie olśniło i odkryłem kwestię fundamentalną. Spróbujcie wytłumaczyć takiemu człowiekowi, co to znaczy widzieć.

Wyobraźmy sobie, że opisywane przeze mnie plemię ludzi po jakimś tysiącu lat takiej egzystencji wciąż żyje na poziomie zwierząt, bo wydaje mi się, że bez zmysłu wzroku nie byłoby w stanie zbudować bardziej imponującej cywilizacji. Do tych ludzi nagle przychodzi człowiek, potomek ocalałych od tej zagłady, którzy schronili się jednak w zupełnie innym miejscu. Przychodzi i mówi: „Ja widzę”. „Co to znaczy, że widzisz” – pytają oni. Jak mógłby im to wytłumaczyć? Pokazać, że potrafi szybciej niż oni złapać rybę? Powiedzieć, że deszcz będzie padał, bo dostrzegł chmury? Myślę, że to najlepszy sposób, dzięki któremu oni zrozumieliby, że ten człowiek ma więcej możliwości, ale nawet to nie pozwoliłoby im pojąć, co to znaczy widzieć. Rozmowa między nimi mogłaby wyglądać na przykład tak:

– Słuchajcie, pójdźcie za mną, a ja przywrócę wam wzrok.

– Jaki wzrok? Ty nam lepiej daj jedzenie, skoro z taką łatwością je zdobywasz. Królika nam upoluj, żabkę daj.

W porównaniu do duchowego bogactwa, w którym żył pierwszy człowiek, my tkwimy w ogromnej nędzy. W takim świecie narodził się Chrystus.

– Ja wam wzrok przywrócę.

– Co za wzrok?

– Będziecie się widzieć.

– Ale co to znaczy widzieć?

– No, nie mogę wam powiedzieć. Dopiero kiedy przejrzycie na oczy, będziecie mogli zrozumieć, co to znaczy widzieć.

Mówię o tym, bo to jest w pewnym sensie historia o nas. Myśmy stracili wzrok. Adam i Ewa stracili wzrok. A my zeszliśmy na psy. W porównaniu do duchowego bogactwa, w którym żył pierwszy człowiek, my tkwimy w ogromnej nędzy. W takim świecie narodził się Chrystus. Przyszedł do ludzi i powiedział: „Ja widzę. Królestwo niebieskie widzę”. A my Mu na to odparliśmy: „Jakie królestwo niebieskie?”. My jesteśmy niewidomi.

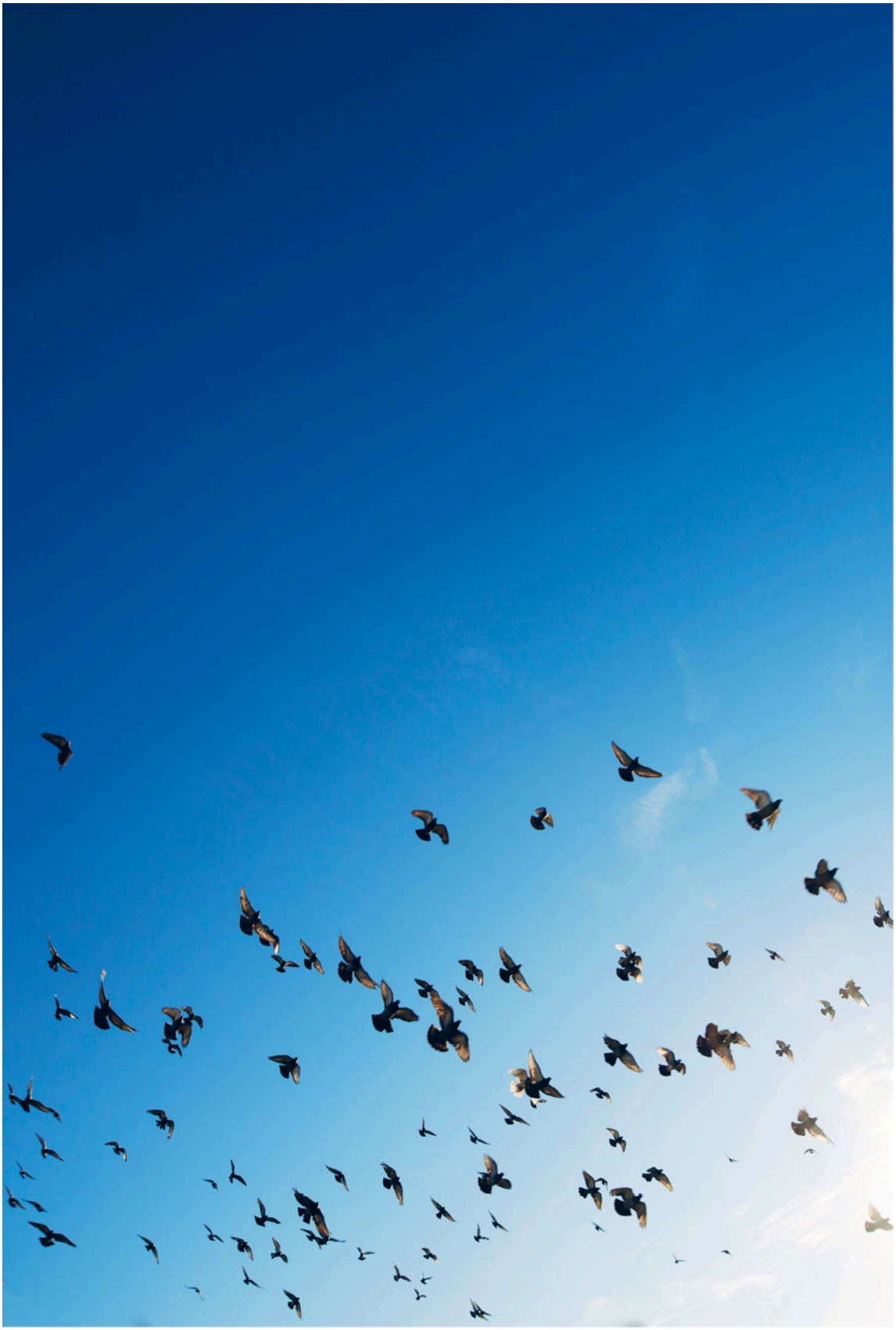

Rowan Heuvel/Unsplash

Zawsze przechodzą mnie ciarki, kiedy czytam czyjeś objawienia, głoszące, że na mszy świętej są aniołowie i Maryja. Całe hufce aniołów uczestniczą w każdej mszy świętej. My tymczasem widzimy tylko siebie.

Chrystus chce przywrócić Piłatowi wzrok, uratować go od śmierci.

Wróćmy do sceny z Ewangelii. Chrystus przyszedł na ziemię i stoi właśnie naprzeciw niewidomego Piłata, nędzarza, biedaka i żebraka, takiego jak wszyscy ludzie. Jest poraniony, obolały i zmęczony, a mimo to ma tylko jeden cel. Jaki to cel? Chrystus chce przywrócić Piłatowi wzrok, uratować go od śmierci. Oczywiście nie liczył chyba na to, że Piłat w tym momencie wyzna wiarę. Był to przecież poganin, który zupełnie nie znał religii żydowskiej. Nie był przygotowany na przyjście Mesjasza. Mimo to Jezus z nim rozmawia, i to rozmawia z miłością, bo Chrystus z każdym człowiekiem rozmawiał z miłością.

Proszę zwrócić uwagę, w jaki sposób Chrystus swoim cierpieniem przywrócił wzrok dobremu łotrowi na krzyżu. W jaki sposób przywrócił wzrok setnikowi pod krzyżem, który powiedział przecież: „Prawdziwie ten człowiek był Synem Bożym”. On w tym skazańcu zobaczył kogoś więcej.

I ludzie widzieli, że Jezus potrafił coś więcej. Uciszył jezioro, rozmnożył chleb, zamienił wodę w wino. Jak to robił? Chrystus nie używał swojej Boskiej mocy, używał mocy wierzącego człowieka pełnego Boga. Sam przecież mówił: „Gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczycy, powiedzielibyście tej morwie: «Wyrwij się z korzeniem i przesadź się w morze!», a byłaby wam posłuszna” (Łk 17, 6). Szokująca rzecz.

Jak zachowali się ludzie, do których przyszedł Chrystus? Identycznie jak ci niewidomi z mojego przykładu. Ciekawe, ilu poszłoby za tym

przybyszem, który obiecał im, że odzyskają wzrok, jeśli za nim pójdą. „Co on mówi? Mamy wszystko ryzykować dla wzroku, którego nie potrafi nawet opisać? Tu jest nasze dobre jedzonko, tu mamy dobre skały, tu mamy dobrą wodę, ciepełko. Zostajemy”. To jest sytuacja, która powtarza się w wielu rozmowach współczesnych ludzi z Chrystusem. „Czego On chce? Jakie wyrzeczenie się, zaparcie się samego siebie?”

Wiara to widzenie. Ilu z was mogłoby powiedzieć: „Proszę księdza, dopiero jak miałem czterdzieści lat, to mi się oczy otworzyły. Dopiero wtedy zorientowałem się, kim jestem, kim są moja żona i dzieci. Dopiero gdy wszedłem w życie Kościoła, zorientowałem się, czym jest msza święta. Wcześniej chodziłem i nie widziałem”.

W czasie rozmowy Jezusa z Piłatem stali naprzeciwko siebie widzący, który chciał przywrócić wzrok, i elegancki niewidomy. By poruszyć serce ślepca, Chrystus godzi się na upokorzenie. Nie chce go przestraszyć. Ważne jest dla niego tylko jedno, nasza wolność. Nie zależy mu na zachowaniach, słowach, uczuciach. On chce wydobyć z nas to, co jest ukryte głęboko w naszym wnętrzu.

Ile razy w relacjach międzyludzkich ktoś ma w głowie takie myśli: „Ja wiem, że ty mi gotujesz, żono. Ja wiem, że ty mi służysz, że ty mi się w nocy oddajesz. Ja wiem. Ale ja nie znam twojego «ja». Ty mnie nie kochasz. Nigdy nie oddałaś mi tego, co masz w sercu. Dajesz mi tylko uczucia, nieraz słowa i zachowania, a ja chcę tego, co jest w środku. Chcę, żebyś w wolności mi siebie oddała”. Do tego nikt nikogo nie może zmusić. Nikt nie zmusi cię, żebyś oddał komuś swoją wolność. Może cię ktoś zmusić do słów. Może cię ktoś zmusić do zachowań. Może cię ktoś zmusić do uczuć – nastraszyć cię, zachwycić. Ale nikt ci nie wydrze twojej wolności.

Chrystus, proszę zwrócić uwagę, stara się dotrzeć do Piłatowego „ja”. Mógł go postraszyć, mógł go czymś olśnić, dokonać jakiegoś cudu. Nie oszukujmy się, Bóg od samego początku mógł olśnić wszystkich. Niektórzy nawet tego oczekują. Nieraz ludzie mówią: „Żeby tak ten Pan Bóg coś pokazał, jakoś się objawił, tobym uwierzył”.

Często w naszych relacjach – rodzice–dzieci, chłopak– dziewczyna, mąż–żona, narzeczony–narzeczona – koncentrujemy się na zachowaniach, słowach i uczuciach. Byle tylko je mieć.

Często w naszych relacjach – rodzice–dzieci, chłopak–dziewczyna, mąż–żona, narzeczony–narzeczona – koncentrujemy się na zachowaniach, słowach i uczuciach. Byle tylko je mieć. Chcę zachwycić chłopaka swoją seksualnością, chcę zachwycić dziewczynę pieniędzmi, chcę wzruszyć ją czułymi słowami, „Kocham cię”, „Jesteś nieprawdopodobna”. Chłopcy uczą się takich tekstów na pamięć. Wiedzą, że zrobią one wrażenie na dziewczynach, i często mają rację – dziewczyna jest zniewolona jego słowami.

Wielkim orężem, że użyję takiego porównania, w walce o kobietę są dla mężczyzny słowa. Wy, drogie panie, jesteście na nie bardzo wrażliwe. Oczywiście, niektóre z was od razu zorientują się, że to jest tylko gierka, ale jeśli dziewczyna nie słyszała od swojego ojca, że jest piękna i wspaniała, a jakiś chłopak zacznie jej prawić takie komplementy, to ona może skoczyć w otchłań i utonąć w jego słowach.

Czy taki chłopak zdobywa wolność tej dziewczyny? Nie, zdobywa tylko jej uczucia, które są przecież ulotne. Będzie potem próbował utrzymać je poprzez popis, szpan czy szantaż. Często stosujemy takie metody. Niedzwonienie do siebie, nieodzywanie się, rozpłakanie, przerwanie rozmowy po to, żeby to drugie się zmartwiło, żeby poczuło niepokój. „Nie zadzwonię do niego przez trzy dni. Niech trochę zmięknie". Jezusa nie interesują takie gry! Jezusa interesuje serce.

Otóż, proszę państwa, drogie dziewczyny i drodzy chłopcy, niech was nie zastanawia to, czy zachwycicie sobą dziewczynę albo chłopaka, czy ich podniecicie. To jest dość proste. Zamiast tego dotrzyjcie do czyjejś wolności. Rozumiecie?

Zwróćcie, proszę, uwagę, od czego Jezus zaczyna rozmowę, kiedy Piłat mówi: „Czy Ty jesteś Królem Żydowskim?". Jezus odpowiada pytaniem. On bardzo często tak robi, nagle zmienia temat. „Czy to mówisz od siebie, czy też inni powiedzieli ci o Mnie?" Czy ja teraz rozmawiam z tobą, czy rozmawiam z twoimi wyuczonymi tekstami? Bardzo często nie rozmawiamy z człowiekiem, tylko z gazetą, którą on czyta, albo programem telewizyjnym, który ogląda. Często nie rozmawiamy z człowiekiem, tylko z jego bolącym zębem. Przychodzi kolega do pracy i jest wściekły: „Odczep się ode mnie! Mam cię dość! Już cię nie mogę słuchać!", a my się zastanawiamy, dlaczego on tak wrzeszczy. To nie on wrzeszczy, to wrzeszczy jego bolący ząb. Człowiek zawsze powinien pytać w rozmowie z drugim: „Czy to jesteś ty?".

Bardzo często, drodzy panowie, jest tak, że wcale nie rozmawiacie ze swoją żoną, tylko z jej koleżanką z pracy. Siedziały przy biurku przez osiem godzin, koleżanka nawkładała twojej żonie do głowy różnych rzeczy, a ta wraca do domu i puszcza ci płytę znajomej. Często, kiedy w małżeństwie ktoś się kłóci, mówi: „No nie poznaję tej mojej żony", „Nie poznaję mojego

męża”. Nagle stają się kłótliwi, niedobrzy. Jeśli jesteś w takiej sytuacji, zastanów się, z kim rozmawiasz. Czy ze swoim mężem, żoną, czy z ich depresją lub smutkiem? A może z tym, że im się komputer zepsuł albo w samochodzie coś stuka? Zawsze się zastanawiaj, z kim właśnie rozmawiasz.

Czy przychodzisz na mszę świętą, bo sam tak decydujesz? Czy „Chwała na wysokości”, które w jej czasie mówisz, wychodzi od ciebie? Czy mówisz je, bo wszyscy mówią? Wiecie, co najlepiej weryfikuje nasze zaangażowanie w przeżywanie Eucharystii? To, czy gdybyśmy byli na mszy jedynym wiernym, wiedzielibyśmy, kiedy wstać,

kiedy usiąść i co kiedy odpowiedzieć.

A ty jesteś sobą? Czy może kimś innym? Czy przychodzisz na mszę świętą, bo sam tak decydujesz? Czy „Chwała na wysokości”, które w jej czasie mówisz, wychodzi od ciebie? Czy mówisz je, bo wszyscy mówią? Wiecie, co najlepiej weryfikuje nasze zaangażowanie w przeżywanie Eucharystii? To, czy gdybyśmy byli na mszy jedynym wiernym, wiedzielibyśmy, kiedy wstać, kiedy usiąść i co kiedy odpowiedzieć. My, księża, często to widzimy, gdy odprawiamy mszę pogrzebową. Tam nie ma tłumów, bywa, że tylko rodzina siada za trumną. Ludziom się myli, kiedy wstawać, kiedy siadać, bo gdy chodzili na taką ogólną mszę, tłum zawsze ich pociągnął. Zastanów się, czy potrafisz odmówić tu i teraz całe „Chwała na wysokości” albo wyznanie wiary.

Odprawiałem kiedyś mszę świętą dla dwóch sióstr zakonnych. Byliśmy tylko we trójkę w małej kaplicy. Wszyscy zawodowcy – ja ksiądz, one zakonnice. Jak pomyliliśmy się w trzecim zdaniu „Chwała na wysokości”, to szybko musiałem zaglądać do ściągawki. Okazało się, że nie znamy tego na pamięć. Zawsze się jakoś z wiernymi mówiło.

Wiedząc o tym, że ludzie bardzo często nie są sobą, Jezus pyta: „Piłacie, czy Ja rozmawiam z tobą, czy z jakimiś opiniami?”. I Piłat szczerze przyznaje: „Ty mnie nic nie obchodzisz. To Twoi przełożeni, Twoi wyznawcy, Twój naród Cię wydał. Ja mam Cię tutaj tylko osądzić i zdecydować, czy Cię nie skazać”.

Jezus jest fascynujący.

Jezus jest fascynujący. Wydawać by się mogło, że skoro zbity i zmaltretowany stoi naprzeciwko Piłata, żołnierza, hierarchy wojskowego, powinien z trudem dobierać słowa. Tu jednak Jezus cały czas prowadzi rozmowę. Nigdy nie stracił kontroli nad sytuacją. Nawet gdy Go torturowali, nawet gdy podszedł żołnierz i uderzył Go w twarz, Jezus spokojnie zapytał: „Dlaczego Mnie bijesz? Jeśli źle zrobiłem, to powiedz. A jak nie zrobiłem źle, to dlaczego Mnie bijesz?”. On miał wszystko pod kontrolą.

Jezus zawsze odpowiadał krótko, Jezus zawsze odpowiadał celnie, Jezus zawsze odpowiadał mądrze.

Jezus zawsze odpowiadał krótko, Jezus zawsze odpowiadał celnie, Jezus zawsze odpowiadał mądrze. A jeśli pytanie było głupie i nie na miejscu, od razu przechodził do meritum sprawy. Ani razu nie zapultał się w swojej wypowiedzi. Nigdy nie powiedział: „A to ci kłopot. O rety, o rety!”. Zawsze wiedział, co zrobić! Od razu odpowiadał! To jest Król. Mimo że pobity. Jeszcze na krzyżu rządzi. „Ty będziesz w raju dzisiaj”, „Maryjo, weź syna. Synu, weź Matkę swoją”. To jest nieprawdopodobna postać.

Henry Perks/Unsplash

Jako mąż, jako żona, jako ksiądz nigdy nie powinniśmy tego Bożego tupetu tracić. Powinniśmy być jak Jezus przed Piłatem, zawsze wiedzieć, co w danym momencie powiedzieć. Kiedy przycisną nas w pracy, kiedy mnie ktoś na ulicy w sutannie przyciśnie, żebyśmy nie mówili: „O rety, rety i co ja teraz zrobię”, tylko żebyśmy zawsze od razu potrafili przyznać się do Chrystusa, tak jak trzeba, odpowiedzieć tak jak On, szukać w człowieku, z którym rozmawiamy, prawdy i wolności.

Żebyśmy nie mówili: „O rety, rety i co ja teraz zrobię”, tylko żebyśmy zawsze od razu potrafili przyznać się do Chrystusa, tak jak trzeba, odpowiedzieć tak jak On, szukać w człowieku, z którym rozmawiamy, prawdy i wolności.

Chrystus oparł się pokusie, by siłą zbawiać świat. W Ewangelii o kuszeniu Jezusa na pustyni jest o tym mowa. Co tam szatan mówi? „Panie Jezu, zrób z nimi porządek. Jeden dobry wulkan – i Rzym jest pobożny. Jedna dobra zaraza – i Azja jest pobożna. Zrób porządek”. My często też stoimy przed taką pokusą zrobienia porządku. Mam nadzieję, że nie zdradzę tajemnicy mojego kolegi księdza, jeśli opowiem tu jedno wydarzenie z jego życia.

Kolega mój jest bardzo dobrze zbudowany i wysportowany. Nawet po święceniach kapłańskich nie zapomniał swoich umiejętności w walce, którą ćwiczył, jeszcze zanim zdecydował się zostać księdzem. Wiemy to, bo jak go kiedyś złodziej na ulicy napadł, to potem musiał się parę dni rehabilitować. Kolega ten powiedział mi raz w przypływie szczerości, gdy gadaliśmy sobie na luzie: „Wiesz, Piotrze, ja nie jestem jakimś

miłośnikiem, nie jestem fanatykiem, ale lubię sobie nieraz popatrzeć na filmy, w których główny bohater to taki szlachetny *bad guy*, co to w imię dobrych intencji wyrywa ręce, łamie nogi, przybija gwoździami dłoń do blatu. Dlatego, jak przychodzi do mnie do spowiedzi kobieta i mówi: «Proszę księdza, mój mąż mnie uderzył, mój mąż pije», to ja jej mówię, żeby była cierpliwa, ale w głębi duszy mam tylko ochotę spytać ją o adres. A potem pójść tam i załatwić sprawę, jak należy... My, chrześcijanie, to tylko te koronki, litanie... A ja to bym czasem poszedł powalczyć z tymi grzesznikami, podpalić jakąś redakcję antyklerykalną. Przepraszam cię za taką szczerość, ale nieraz to po prostu, no, aż mnie ręce świerzbią!”.

Państwo też macie ręce. Też często was świerzbią, żeby komuś przywalić. To jednak nigdy nie będzie rozwiązanie. Nic nie wskóramy, paląc jakieś redakcje czy obijając grzeszników w ciemnych zaułkach. Powinniśmy być tacy jak

Chrystus, być twardego ducha. Twardość to jest potęga.

Państwo też macie ręce. Też często was świerzbią, żeby komuś przywalić. To jednak nigdy nie będzie rozwiązanie. Nic nie wskóramy, paląc jakieś redakcje czy obijając grzeszników w ciemnych zaułkach. Powinniśmy być tacy jak Chrystus, być twardego ducha. Twardość to jest potęga. To, że setnik nawrócił się pod krzyżem, było zasługą tego, że Jezus na krzyżu okazał twardość. Innego wyjścia nie ma.

Ian Dooley/Unsplash

Wszelkie przymuszanie do wiary, do moralności w końcu się zemści. Wynotowałem kiedyś taki fragment z „Gościa Niedzielnego” (47/2009), z artykułu *Problem z Hiszpanią*, w którym opisywano, jak wygląda obecnie kwestia wiary w tym kraju: „trudno też nie zadać pytania, co takiego się stało, że państwo, które jeszcze w latach 50. nie miało ustawy gwarantującej rozdział państwa i Kościoła, a w latach 70. uchodziło za bastion katolicyzmu europejskiego, tak szybko się zlaicyzowało. I tu, niestety, trzeba powiedzieć jasno, że odpowiedzialność za to spoczywa w znacznej mierze na frankistach. Twórcy tego ruchu i jego kontynuatorzy doprowadzili bowiem do sytuacji, w której katolicyzm był ideologią panującą w Hiszpanii, a nie stał się żywym doświadczeniem wiary. Urzędnicy państwowi jeszcze w latach 60. mieli obowiązek być co niedziela na Mszy św., a więźniowie musieli się spowiadać co miesiąc”. Urzędnicy państwowi jeszcze w latach sześćdziesiątych mieli obowiązek być co niedziela na mszy świętej. Szok! Dalej autor pisze: „I choć trudno się dziwić, że po masowych mordach, jakich republikanie dokonywali na kapłanach, Kościół opowiedział się po stronie gen. Franco, to nie powinno także zaskakiwać, że gdy reżim frankistowski upadł, zmuszani do praktyk religijnych ludzie zaczęli je sobie odpuszczać”.

Jeśli macie dziecko, które się upiera, że nie chce chodzić do kościoła, nie ma co go przyciskać.

To bardzo ważna dla nas nauka. Jeśli macie dziecko, które się upiera, że nie chce chodzić do kościoła, nie ma co go przyciskać. Oczywiście na początku warto coś tam podziałać, namawiać, ale na pewno nie warto

nakazywać i straszyć. Trzeba dać świadectwo. Tłumaczyć, czekać. Jezus nigdy nikogo do niczego nie zmuszał. Musimy dać sobie tutaj absolutną wolność. Absolutną wolność.

Pamiętajcie, jeśli ktoś chce odejść, pozwólcie mu odejść. Jeśli cię kocha, wróci. Jeśli nie wróci, nigdy cię nie kochał. Jezus pozwala nam odchodzić. Jeśli ktoś grzeszy, pioruny nie walą w ziemię, nie bierze go od razu choroba. Wręcz przeciwnie, często nawet dobrze mu się powodzi. Diabeł się o to stara, bo nie chce, byśmy wrócili do Chrystusa.

Jezus przychodzi. Nie tylko przyjdzie, ale już przychodzi. Kto Go przyjmie? Uwierzy w to, że Jezus widzi nasze serca i wlewa w nie wolność? Jeśli w swoim życiu zdetronizowałeś Chrystusa, jeśli nie zasiada On teraz na twoim tronie, to przywróć Go tam. Nie będzie żadnego dekretu, który uzna Chrystusa za twojego Króla. Nie będzie, bo wolność to nie są dekrety, to twoja decyzja, czy uznasz Go za Pana. Zaryzykuj uczciwość. Zaryzykuj czystość. Zaryzykuj trzeźwość. Zaryzykuj rezygnację z pewnych rzeczy, które ciągną cię w dół. Wprowadź Chrystusa na tron swojego serca, wtedy wszystko będzie na swoim miejscu.

Allen Taylor/Unsplash

WIARA

> „[Jezus powiedział do swoich uczniów:] «Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i Mamonie.
>
> Dlatego powiadam wam: Nie troszczcie się zbytnio o swoje życie, o to, co macie jeść i pić, ani o swoje ciało, czym się macie przyodziać. Czyż życie nie znaczy więcej niż pokarm, a ciało więcej niż odzienie? Przypatrzcie się ptakom w powietrzu: nie sieją ani żną i nie zbierają do spichrzów, a Ojciec wasz niebieski je żywi. Czyż wy nie jesteście ważniejsi niż one? Kto z was przy całej swej trosce może choćby jedną chwilę dołożyć do wieku swego życia? A o odzienie czemu się zbytnio troszczycie? Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swoim przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich. Jeśli więc ziele na polu, które dziś jest, a jutro do pieca będzie wrzucone, Bóg tak przyodziewa, to czyż nie tym bardziej was, małej wiary? Nie troszczcie się więc zbytnio i nie mówcie: co będziemy jeść? co będziemy pić? czym będziemy się przyodziewać? Bo o to wszystko poganie zabiegają. Przecież Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Starajcie się naprzód o królestwo i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane. Nie troszczcie się więc zbytnio o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie. Dosyć ma dzień swojej biedy»”.
>
> **Mt 6, 24–34**

Ewangelia w swojej treści zawsze odnosi się do naszego życia, chociaż nie zawsze jesteśmy w stanie wychwycić to na pierwszy rzut oka. Nieraz jakiś fragment Ewangelii może się nam wydawać bujaniem w obłokach, ale

za każdym razem da się go sprowadzić do problemów naszego człowieczeństwa, naszej egzystencji. Przy tym fragmencie nie trzeba się nawet specjalnie trudzić. Tematem numer jeden jest przecież wśród ludzi troska o przyszłość.

Ile zarabiasz, w jakim funduszu emerytalnym jesteś, czy chcesz zmieniać pracę, czy się przeprowadzasz? To są codzienne Polaków, i nie tylko Polaków, rozmowy, w które Pan Bóg wkracza ze swoją dość szokującą deklaracją. Chrystus mówi: popatrzcie na ptaki, popatrzcie na rośliny, jakie są piękne, śliczne. Wy jesteście ważniejsi od tych wróbli, jesteście najważniejsi. My tego oczywiście słuchamy, kiwamy głową, mówimy: „Oto słowo Pańskie”, ale zupełnie tego nie czujemy. Przecież gdybyśmy byli ważni, to nasze życie byłoby sielanką, a kłopotów wszak mamy sporo. Może ktoś ma w kieszeni diagnozę swojej choroby nowotworowej, może ktoś właśnie się dowiedział o czyjejś śmierci i czuje teraz wielki ból?

Jedno Panu Bogu musimy przyznać – z tym porównaniem do wróbli to Mu się udało. Czy ktokolwiek w Warszawie widział, by jakieś stado wróbli padło z głodu?

Jedno Panu Bogu musimy przyznać – z tym porównaniem do wróbli to Mu się udało. Czy ktokolwiek w Warszawie widział, by jakieś stado wróbli padło z głodu? Latają i latają. Jedną wojnę przelatały, drugą wojnę przelatały. W zasadzie nie wiadomo, gdzie mieszkają, ale gdzieś mieszkają i mają się całkiem nieźle. Z innymi ptakami jest to jakoś bardziej oczywiste. Jesienią całe niebo robi się czarne od wron czy gawronów, które

lecą na wysypiska śmieci, by tam coś zjeść, a potem zadowolone wracają i śpią przy ciepłych kominach. Gdzie się podziewają wróble?

W wolne dni, w długi weekend wyjeżdżamy z miasta albo chodzimy do parków. Zachwycamy się klombami, kwiatami. One są tak piękne, mimo że żaden z nich nie ma swojej prywatnej wizażystki i nigdy nie był w gabinecie kosmetycznym. Naprawdę jesteśmy dla Pana Boga ważniejsi niż te różyczki i tulipany.

Jesteśmy tak ważni, a jednak Pan Bóg zezwala na nasze cierpienie. Gdzie tu logika? Drodzy bracia i siostry, temat cierpienia jest ogromny. Bardzo często obwiniamy Pana Boga za różne tragiczne wydarzenia, a niekoniecznie tak jest. Przyjrzyjmy się temu problemowi. Mamy takie polskie przysłowie: Diabeł tkwi w szczegółach. Pan Bóg też nieraz tkwi w szczegółach.

Pamiętacie film *Vabank*? Tam w jednej ze scen Kwinto mówi do Duńczyka: „Patrz, Duńczyk, taka mała szajbka i blokuje cały system alarmowy”. W Piśmie Świętym też jest takie jedno słówko, taka jedna Boża szajbka teologiczna, która blokuje całe chrześcijaństwo. Co mam na myśli? Ano zdanie, które musimy zauważyć, choć mogło zaginąć w potoku innych słów. „Starajcie się naprzód o królestwo i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane”.

> **Jeśli ktoś spyta: „Gdzie jest ta Boża opieka nad nami?”, trzeba odpowiedzieć pytaniem: „Czy ty się starasz naprzód o królestwo?”.**

Jeśli ktoś spyta: „Gdzie jest ta Boża opieka nad nami?”, trzeba odpowiedzieć pytaniem: „Czy ty się starasz naprzód o królestwo?”. Bo Pan Bóg gwarantuje swoją opiekę tym ludziom, którzy starają się o królestwo

Boże. Tym, którzy tego nie robią, nie daje polisy ubezpieczeniowej. Wydaje mi się, że kluczowa jest tu odpowiedź na pytania: „Do czego jest Kościół?”, „Czego chce od nas Bóg?” i „Gdzie On nas prowadzi?”. Jedno z największych nieporozumień świata polega na tym, że ludziom się wydaje, iż Pan Bóg chce nam ułatwić zgodne życie w rodzinie, w małżeństwie, dać skończone studia, zdrowie, chleb na stole, poczucie bezpieczeństwa. Kto wam tak powiedział? Pan Bóg ma zgoła inny cel. Doprowadzić nas do królestwa Bożego. On będzie robił wszystko tak i wszystko będzie tak ustawiał, żebyśmy mogli je osiągnąć. To oczywiście może niekiedy wejść w ostry konflikt z naszymi własnymi pragnieniami i marzeniami.

Jedno z największych nieporozumień świata polega na tym, że ludziom się wydaje, iż Pan Bóg chce nam ułatwić zgodne życie w rodzinie, w małżeństwie, dać skończone studia, zdrowie, chleb na stole, poczucie bezpieczeństwa. Kto wam tak powiedział? Pan Bóg ma zgoła

inny cel. Doprowadzić nas do królestwa Bożego.

Tym, którzy wybierają Boga za Pana, niczego nie brakuje. Wobec nich Pan Bóg spełnia swoją obietnicę. Gwarantuje im, że zacznie działać, że niczego im nie zabraknie. Będziesz piękniejsza niż cały bukiet róż. Tylko: czy my wybieramy Pana Boga za Pana? Bo to wszystko wspaniale brzmi, ale czy naprawdę się w nas dzieje?

Czy gdyby dzisiaj anioł powiedział ci, że twój ukochany chłopak zaprowadzi cię prosto do piekła, byłabyś gotowa jutro zerwać?

Czy gdyby anioł powiedział ci dzisiaj we śnie: „Twoje studia oddalają cię od Boga”, byłbyś w stanie wycofać jutro papiery z dziekanatu? Czy gdyby dzisiaj anioł powiedział ci, że twój ukochany chłopak zaprowadzi cię prosto do piekła, byłabyś gotowa jutro zerwać? My próbujemy negocjacji. Panie Boże, chwilkę, nie tak ostro, nie tak nerwowo, Panie Boże. Podyskutujmy na ten temat.

Nieraz przychodzi dziewczyna i mówi: „Proszę księdza, ale szczęście: mam chłopaka! Jest, jest! Ale przy okazji, proszę księdza, jeszcze jedna sprawa, proszę o spowiedź. Za tydzień też pewnie poproszę o spowiedź”. Kto tu jest panem w takiej sytuacji? Chłopak czy Bóg? Nieraz planujemy wakacje, analizujemy, gdzie jechać, jakie tam będą warunki, jaka cena, czy jest basen. A kto z was, szukając lokum na wakacje, bierze pod uwagę odległość miejsca zakwaterowania od kościoła? Często jest to najmniej

ważne. Prysznic, telewizor w pokoju, telewizja satelitarna, miejsce na grilla, możliwość wynajęcia kajaków – to są rzeczy, o jakich myślimy. Które czynimy naszymi priorytetami.

> **Kto z was, szukając lokum na wakacje, bierze pod uwagę odległość miejsca zakwaterowania od kościoła?**

Oczywiście w naszym życiu musimy się troszczyć i o pieniądze, i o studia, ale pierwsze zdania Jezusa z zacytowanego fragmentu Ewangelii według świętego Mateusza wprost pokazują, jak powinna wyglądać nasza piramida wartości. Pismo Święte mówi: „Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi". Możesz interesować się wieloma rzeczami – praca, wypoczynek, kontakty z rodziną, hobby – ale Pana masz mieć jednego. Albo kasa, albo seks, albo kariera, albo twoje „ja", albo Bóg w Trójcy Świętej Jedyny – tego nie da się ze sobą pogodzić. Co wybierzesz?

Nie mówmy: „Bóg się mną nie opiekuje", „Bóg nie opiekuje się moją rodziną", bo Bóg nie będzie stróżem twojej prywatnej drogi

do świeckiego bożka. Nie licz na to.

Często próbujemy uniknąć tej deklaracji i właśnie dlatego zdarzają się sytuacje krytyczne, poprzez które Pan Bóg chce sprawić, żebyśmy coś sobie uświadomili. Żebyśmy uświadomili sobie, kto jest naszym Panem Bogiem. Nikt nie może dwom panom służyć. Pan jest jeden i jest jeden cel w naszym życiu. Niektórzy próbują robić takie karkołomne akrobacje, żeby, tak na wszelki wypadek, służąc różnym panom świeckim, jeszcze Panu Bogu jakiś ogarek zapalić. To nie ma sensu. Kiedyś Jan Tadeusz Stanisławski w jednym z monologów powiedział: „Jeśli, daj Boże, Pana Boga nie ma, to chwała Bogu; ale natomiast jeśli, nie daj Bóg, Pan Bóg jest, to niech nas ręka Boska broni". Widzimy, że to się kupy nie trzyma.

Nie mówmy: „Bóg się mną nie opiekuje", „Bóg nie opiekuje się moją rodziną", bo Bóg nie będzie stróżem twojej prywatnej drogi do świeckiego bożka. Nie licz na to. On nigdy nie obiecywał, że będzie się tobą opiekował na takich ścieżkach. Bóg nie będzie się opiekował twoim kultem chłopaka, kultem pieniądza, kultem studiów, kultem twojego rozwoju intelektualnego. On obiecał, że jeśli w pierwszej kolejności będziecie się starali o królestwo Boże, to wtedy da wam wszystko.

Bardzo często służymy naszym marzeniom i wyobrażeniom, które prowadzą nas do zguby. Mamy skłonność do szybkiego sakralizowania naszych planów i pragnień. Skoro chcę takiej szlachetnej rzeczy jak małżeństwo, skończenie studiów, zdrowie czy piękna podróż, to Bóg na pewno też tego chce. Skąd my to jednak wiemy? Może Boskie plany są zupełnie inne?

Jezus nam przypomina: „Szukajcie wpierw królestwa. Szukajcie życia, szukajcie Mnie”. A o sobie mówi: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem”. Co to znaczy, że przyjmuję Chrystusa jako drogę? Że jestem Mu posłuszny. W ostatni długi weekend wszyscy jadący do Zakopanego z uwagą słuchali meldunków z Zakopianki. Korki ogromne, samochody stoją, przeciętna prędkość: pięć kilometrów na godzinę. Mimo to najwięksi nawet cwaniacy byli posłuszni Zakopiance. Skoro powiedziała: „Stop!”, wszyscy stanęli. My w ogóle, jeżdżąc samochodem, jesteśmy bardzo posłuszni drodze. Przepisom drogowym niekoniecznie, ale drodze – zawsze. Ona mówi: „Skręcaj”, skręcamy. Najbardziej pyszny człowiek nie powie: „A co tam będę skręcał, pojadę sobie prosto”. Droga mówi: „Pod górę”, jedziemy pod górę. Droga mówi: „W dół”, jedziemy w dół. Jesteśmy drodze posłuszni. A gdy próbujemy zrobić skrót albo ominąć korki, wiemy, jak to się kończy. Kto z was nie wpakował się w jeszcze gorszą sytuację, na chojraka próbując wykiwać wszystkich stojących w korku? Drodze trzeba być posłusznym. Jeśli jest w niej dziura, wszyscy się zatrzymują. Jeśli gdzieś jest zwężenie, wszyscy się zatrzymują. Jeśli jest korek, ludzie będą nawet sześć godzin siedzieć w samochodach i wściekać się, ale nie zjadą z drogi. Nie pojadą w przepaść, nie przejadą na skróty przez pole górala. „Ja jestem drogą”. Jezus mówi: „Jeśli przyjmujesz Mnie za drogę, Mnie musisz być posłuszny. Jak Ja skręcam, to i ty skręcasz. Jeśli Ja idę pod górę, to i ty ze Mną tam idziesz”.

Życie w prawdzie jest trudne. Tyle jest kłamstw dookoła nas, i w dużej mierze to przez nie cierpimy.

„Ja jestem prawdą”. Życie w prawdzie jest trudne. Tyle jest kłamstw dookoła nas, i w dużej mierze to przez nie cierpimy. Nie znamy się. Żyjemy ciągle w wyobrażeniach, kłamstwach i iluzjach. Spotykamy się z nimi zarówno w życiu prywatnym, jak i społecznym. Oto przykład. Po tym jak Kosowo ogłosiło niepodległość, w mediach można było zobaczyć Serbów mówiących do kamer z płaczem, że tam, na tej ziemi, zostały największe pamiątki ich prawosławnej chrześcijańskiej kultury, że tereny te opanowują bezprawnie muzułmanie. Jedna z dziennikarek, Marina Stanković, napisała wtedy, że Serbowie sami są sobie winni. Kosowo to region na pograniczu Serbii, Albanii i Macedonii, kolebka serbskiej kultury. W ciągu ostatnich dziesięcioleci wśród Serbów tak popularna stała się jednak aborcja, że tylko jedna na pięć ciąż kończyła się rozwiązaniem. Jedna na pięć. W tym czasie albańskie kobiety miały po sześcioro, ośmioro, czy nawet dziesięcioro dzieci. To sprawiło, że choć jeszcze na początku dwudziestego wieku Serbowie stanowili w Kosowie siedemdziesiąt procent populacji, dziś jest to niespełna osiem procent. Czy więc muzułmanie bezprawnie opanowują serbskie tereny? Czy może już od dawna na nich mieszkają? Gdzie leży prawda?

Jon Tyson/Unsplash

Pierwsze Boże błogosławieństwo skierowane do człowieka brzmi: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną”. Łańcuszek przyczynowo-skutkowy nie jest tu skomplikowany. Tylko ten, kto się rozmnaża, może czynić sobie ziemię poddaną. Co powiedzą nasze dzieci i wnuki za pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, musząc sobie poradzić z kłopotem, jakiego im narobimy wskutek ujemnego przyrostu naturalnego? To jest nasz wybór.

Co powiedzą nasze dzieci i wnuki za pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, musząc sobie poradzić z kłopotem, jakiego im narobimy wskutek ujemnego przyrostu naturalnego?

Teraz spójrzmy na ten sam problem, choć w wymiarze indywidualnym. W ilu rodzinach rodzice narzekają na dzieci? Jakie są najczęstsze wytłumaczenia tej sytuacji? Wpadł w złe towarzystwo. „Wie ksiądz, takie czasy. Telewizję ogląda, muzyki takiej słucha i tak się z nim dzieje. Nie mogę się z nim dogadać”. A co by było, gdybym za autorem artykułu, który kiedyś przeczytałem, spytał: jeśli jakieś małżeństwo przez lata stosuje antykoncepcję, z przerażeniem myśląc: „żeby tylko nie było ciąży”, to czy przypadkiem niechęć do dziecka, które mogłoby się począć, nie przelewa się na to, które już się urodzi? Czy tacy rodzice nie traktują dziecka jak potencjalnego wroga? Czy to myślenie nie wbija się do głowy i serca i nie sprawia, że taka matka, patrząc na swoje dziecko, mówi: „Ten bachor mi tutaj przeszkadza”? Grzech się rozlewa, proszę państwa. Wiele małżeństw nie ma pojęcia, że stosowanie pigułki antykoncepcyjnej pogorszyło ich relację z żyjącym dzieckiem. Ale tak jest, tak działa nasza psychika. Nie

chcemy dziecka, żeby nas nie ograniczało. Czy więc to, które jest, nie hamuje twojego rozwoju? – pyta głos z tyłu głowy.

Chrystus chce, żebyśmy zdali sobie z tego sprawę, nie po to, żeby nas zgnoić, tylko po to, żeby nas wyzwolić. My się nie znamy i dlatego tak strasznie cierpimy, żyjąc w półprawdach i półkłamstwach. Nie wiemy, czego nam potrzeba. Karmimy się intelektem, studiami, znajomościami, zdobywaniem świata, a najczęściej jesteśmy po prostu głodni miłości. Pełnej, pięknej, nieskończonej, takiej, jaką chce nam dać Chrystus.

Pamiętaj, staraj się naprzód o drogę, której będziesz posłuszny. Staraj się naprzód o prawdę, a dostaniesz życie. To, że istniejesz, nie znaczy jeszcze, że żyjesz. Może tylko wegetujesz. Prawdziwie żyje jedynie ten, kto żyje w Bogu. Pozostali są cyborgami.

Wszyscy dążymy do szczęścia, ale szczęście na ziemi jest produktem ubocznym. Jezus mówi: „Troszcz się o królestwo Boże. Troszcz się, żebyś nie zjechał z drogi, choć jedziesz we mgle”. To jest obraz naszego człowieczeństwa. Wszyscy podróżujemy przez życie, przedzierając się przez mgłę. Trzymaj się drogi, zabiegaj o prawdę i troszcz się o życie Boże, a szczęście będzie ci dane. Jeśli w pierwszej kolejności zajmiesz się produktem ubocznym, jakim jest szczęście, to nigdy go nie znajdziesz.

Ktoś kiedyś ciekawie zauważył, że najgorzej jest się czymś zająć, bo wtedy często się okazuje, że to tracimy. O czym mówię? Chodziłem po kolędzie w Otwocku. Przychodzę do pewnego domu, telewizor rozgrzebany, płytki wiszą na kablach, potencjometry powyjmowane. Telewizor gra, ale widać, że jest w stanie rozkładu.

Kyle Johnson/Unsplash

– Co to się u pani dzieje? Bomba w ten telewizor trafiła? – pytam gospodynię.

– Proszę księdza, od kiedy mój mąż poszedł na kurs teletechnika, mój telewizor jest w rozsypce, bo on ciągle w nim grzebie.

Jeśli zajmiesz się swoim szczęściem, nie będziesz szczęśliwy. Pamiętam, co mówił mi spowiednik w seminarium, Czesław Miętek, wychowawca wielu pokoleń kapłanów. Gdy go poznałem, był już starszym człowiekiem, bardzo tęgim. Do wszystkich kleryków mówił „chłopak”. On to mi powiedział: „Chłopak, jak będziesz dobrym kapłanem, chłopak, to ci się będzie chciało i będziesz gwizdał ze szczęścia”. Dziś w pełni go rozumiem. Jeśli uda mi się przeżyć choć trzy minuty jako dobry kapłan, to aż chce mi się tańczyć ze szczęścia. Ale to jest tylko produkt uboczny.

Naprzód staraj się o drogę, o prawdę i o życie. Ktoś celnie zauważył, że drzwi w niebie otwierają się na zewnątrz. Jeśli napierasz na te drzwi – ja chcę chłopaka, studiów, szczęścia, chcę urody, Panie Boże, daj – to Pan Bóg nie wpuści cię do nieba. Powie: „Ty weź się cofnij, bo drzwi nie mogę otworzyć”. Drzwi do nieba otwierają się na zewnątrz. Co to znaczy? Że znajdziesz w sobie zgodę na postawienie sobie takich pytań: A może to dobrze, że mama jest w szpitalu – przy niej tego nie mów, broń Boże – bo jak przez pół roku pojeżdżę do szpitala z garnuszkami i termosami, jak zacznę się o mamę modlić, to może wyjdzie ze mnie ten skończony egoizm? A może to dobrze, że ta ukochana dziewczyna ze mną zerwała, bośmy tylko ciągle w łóżku baraszkowali? Panie Boże, przyznaję Ci, masz rację. Cofnę się. I wtedy drzwi się otwierają.

Cofnąć się o ten krok to nazwać rzeczy po imieniu. Pan Bóg dał Adamowi w raju prawo nazwania rzeczy po imieniu. On, czyniąc to, nadawał im sens. Właśnie dlatego my w naszym życiu również powinniśmy w prawdzie nazywać rzeczy po imieniu. Ta relacja z chłopakiem to nie jest miłość, to jest zniewolenie, uzależnienie. Moje studia to jest pęd do kariery, a nie powołanie. Ja po prostu chcę zarobić mnóstwo pieniędzy i rzucić

innych na kolana. Może natomiast moje zamiłowanie, którego się wstydzę, do kwiatów na przykład, jest czymś pięknym, co dał mi Bóg. To jest mój skarb, który być może będę chciał pokazać ludziom i w ten sposób im służyć.

Jeśli staniemy w prawdzie, wyjdziemy na drogę, wszystko będzie nam dane. Tylko pamiętajcie: najpierw trzeba się starać o królestwo Boże, a szczęście przyjdzie jako produkt uboczny.

Tom Parsons/Unsplash

POKORA

> „[Jezus] Wyszedł stamtąd i przyszedł do swego rodzinnego miasta. A towarzyszyli Mu Jego uczniowie. Gdy nadszedł szabat, zaczął nauczać w synagodze; a wielu, przysłuchując się, pytało ze zdziwieniem: «Skąd On to ma? I co za mądrość, która Mu jest dana? I takie cuda dzieją się przez Jego ręce! Czy nie jest to cieśla, syn Maryi, a brat Jakuba, Józefa, Judy i Szymona? Czyż nie żyją tu u nas także Jego siostry?». I powątpiewali o Nim. A Jezus mówił im: «Tylko w swojej ojczyźnie, wśród swoich krewnych i w swoim domu może być prorok tak lekceważony». I nie mógł tam zdziałać żadnego cudu, jedynie na kilku chorych położył ręce i uzdrowił ich. Dziwił się też ich niedowiarstwu. Potem obchodził okoliczne wsie i nauczał”.
>
> **Mk 6, 1–6**

W tym fragmencie przedstawiono bardzo niecodzienną sytuację. Zwykle Jezus musiał uciekać przed tłumem, który Go, czasami nawet dosłownie, ciągnął za rękawy, żeby tylko się gdzieś zatrzymał i kogoś uzdrowił. Pamiętacie, że raz wokół domu Jezusa był taki tłok, iż chorego musiano do Niego spuszczać przez dach? A to tłum na Niego napierał, a to musiał wchodzić na łódkę, żeby trochę odpłynąć od brzegu i móc ogarnąć wszystkich zebranych. Pięć tysięcy mężczyzn Jezus nakarmił. Ciągle tłumy i tłumy. W tym fragmencie jednak Jezus jest na bezrobociu. Nikt Go nie potrzebuje. To dziwne, bo Chrystus przyszedł właśnie do swojego rodzinnego miasta, do Nazaretu, a więc wydaje się, że tam powinien mieć najwierniejsze grono fanów.

Świat naszego dzieciństwa, nawet jeśli były w nim traumatyczne przeżycia, nawet jeśli był w nim alkoholizm ojca, kłótnie rodziców, jest czymś pięknym, przynajmniej dla większości z nas.

Jezus wraca właśnie do świata swojego dzieciństwa. Nazaret, podwórko, koledzy, wspólnie budowane szałasy, drzewa, na które wchodzili. Jezus był przecież normalnym dzieckiem, tak jak wszyscy, którzy Go w Nazarecie otaczali. Być może nawet Jezus szedł do Nazaretu ze szczególną nadzieją i radością, że będzie mógł tam jako Mesjasz usłużyć jakoś swoim ziomkom. Oni jednak nie mieli na to ochoty. Zdecydowała o tym ich pycha. Pycha, która odbiera człowiekowi rozsądek i precyzję myślenia. Oni widzieli, że Jezus jest mądry, ale nie chcieli z tego skorzystać. Pycha często czyni człowieka głupim.

Oni widzieli, że Jezus jest mądry, ale nie chcieli z tego skorzystać. Pycha często czyni człowieka głupim.

Jezus jest fanatycznym wyznawcą wolnej woli. Chcesz? Dostaniesz. Nie chcesz? Nie dostaniesz. Jezus o nic innego tak się nie troszczy, jak o wolną wolę człowieka. Skoro nie chcieli Go w Nazarecie, nie chcieli Jego cudów, idzie do okolicznych wsi.

Pan Bóg bardzo troszczy się o to, żebyśmy odkrywali nasze najgłębsze pragnienia. Czy wiesz, czego chcesz? Kim jesteś? Jaki jesteś? Jakie jest twoje najgłębsze pragnienie? Naszym fundamentem jest wolność – ja jestem wolny i ja czegoś chcę – i tu zaczyna się ogromny bałagan.

Często nie zdajemy sobie, niestety, sprawy z tego, że nasze poboczne pragnienia przysłaniają nam te najistotniejsze, których na dodatek nie potrafimy zdefiniować. Pan Bóg widzi, czego naprawdę chcemy, wie, kim jesteśmy, bo nasze chcenie jest równoznaczne z naszym jestestwem. Chce nam to pokazać, ale żeby tak się stało, my również musimy tego chcieć.

Jest taki film Davida Lyncha, *Prosta historia*. Stary człowiek chce się pogodzić z bratem, więc jedzie do niego przez Stany Zjednoczone na takim traktorku, kosiarce. Mimo różnych propozycji nie chce, aby ktokolwiek go podwoził. Pragnie sam dojechać do swojego brata i nie potrzebuje żadnej pomocy. Piękna jest ostatnia scena, w której główny bohater przyjeżdża w końcu po paru tygodniach podróży z przeciętną prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę do brata i woła, by ten wyszedł na podwórko. On, schorowany, powolutku wychodzi przed dom, opierając się na balkoniku, i mówi: „Przyjechałeś do mnie tyle kilometrów na tym traktorku?”. A główny bohater odpowiada: „No”. Koniec filmu. Charakterystyczna rozmowa dwóch facetów. Jemu jednak w tym pytaniu nie chodziło o potwierdzenie, bo przecież doskonale widział, na jakim pojeździe dotarł do niego brat. On, zadając to pytanie, tak naprawdę pytał: „Tak bardzo mnie kochasz? Naprawdę aż tak chciałeś mnie zobaczyć?”.

DRY MX
WWW.ASIANPARAGAMES2018.ID
VOLUNTEER

Ray Sangga Kusuma/Unsplash

Bóg też często mówi: „Chcesz mnie?”. Nasz „wewnątrzorganizmowy” dział propagandy chrześcijańskiej odpowiada na to: „Jasne, Panie Boże, że chcę”. Co się dzieje dalej? Pan Bóg kontynuuje ten dialog: „Pokażę ci, czego chcesz, żebyś zdał sobie sprawę, czy chcesz Mnie naprawdę, czy jestem dla ciebie najważniejszy. Przyjdę do ciebie przez kogoś, kto jest mniejszy od ciebie. Czy przyjmiesz Mnie w takiej postaci?”. To jest właśnie próba pokory, przed jaką staje każdy z nas.

Czy byłbyś w stanie ukłonić się przed panem, który wywozi ci śmieci spod domu?

Kiedy ktoś z nas miałby sposobność spotkać się z papieżem, zapewne ucałowałby Ojca Świętego w pierścień i wcale nie czułby się z tego powodu poniżony. Ojciec Święty, jakkolwiek na to spojrzeć, jest wielki. Wielki urząd, nieprzeciętna osobowość. Kiedy idziemy do dyrektora i mówimy: „Panie dyrektorze, witam serdecznie”, to też nas to w żaden sposób nie poniża. To samo dotyczy sytuacji, gdy młody człowiek mówi: „No, ten rockman to jest po prostu odlotowy muzyk, fantastyczny. Mam jego zdjęcia i pokłoniłbym mu się w pas. Na koncercie będę rzucał mu kwiaty”. Choć jeszcze trzysta lat temu kłanianie się w pas było okazaniem całkowitego poddaństwa, nikt z nas nie czułby się poniżony, robiąc to przed jakąś gwiazdą. Co jednak, gdyby nie szło o gwiazdę, ale o kogoś, kto w hierarchii społecznej jest niżej od ciebie? Czy byłbyś w stanie ukłonić się przed panem, który wywozi ci śmieci spod domu? Bo właśnie to byłoby uniżenie, którym potwierdzisz, że chcesz Boga. Uniżyć się wobec papieża, biskupa, prezydenta, pisarza, kogoś sławnego jest łatwo. Czy uniżysz się wobec kogoś, kto jest niżej od ciebie?

Mamy skłonność do otaczania obcych osób kultem. Zwykła sytuacja w towarzystwie, kiedy są u nas goście i ktoś rozleje herbatę. Mówimy: „Nic się nie stało. To drobiazg. Ja w ogóle lubię, jak mi ludzie herbatę rozlewają na stół”. Kiedy jednak to mąż rozleje identyczną herbatę na identyczny stół podczas sobotniego śniadania, usłyszymy: „Ty ciamajdo. Szklanki utrzymać nie umiesz?”.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku w seminarium na Krakowskim Przedmieściu usiedliśmy do pierwszej kolacji jako klerycy pierwszego roku. Nikt z nas niczego nie zjadł. Wszyscy częstowaliśmy się przez pół godziny nawzajem, bo przecież byliśmy świętymi klerykami. „Może kolega się herbatki napije? A może szyneczki podać? Nie szkodzi, z przyjemnością wstanę i pójdę na drugi koniec stołu przynieść chleb”. Po dwóch miesiącach wiedzieliśmy już, że to nie ma sensu i trzeba się zająć własnym talerzem.

To człowiek, z którym mieszkasz, przyniesie ci Boga.

Chcesz się uniżyć? Pan Bóg postawi przed tobą na próbę kogoś, kogo już poznałeś, z kim jesz. Kiedyś jeden starszy ksiądz powiedział mi, że nic tak ludzi nie łączy jak sikanie do jednej ubikacji. To człowiek, z którym mieszkasz, przyniesie ci Boga. Nieraz panna młoda po ślubie nie wie, czy zdejmować przy mężu suknię ślubną. Chciałaby przecież cały czas wyglądać pięknie. Potem się to zmienia. Są szlafroki, kapcie, papiloty, podarte podkoszulki. Tak właśnie wygląda człowiek, przed którym masz się uniżyć.

Oczywiście papież też nam przynosi Boga, ale to twój brat, ten, który się ciągle czepia, jest pierwszym, który ci Go przyniesie. Mimo że wady

brata mógłbyś recytować przez godzinę z pamięci. Bóg przemówi do ciebie przez niego.

To, co się wydarzyło w Nazarecie, było tragiczne. Na pewno niektórzy mieszkańcy miasta byli chorzy. Były potrzebujące pomocy dzieci. Byli cierpiący starcy. Byli paralitycy. Oni wszyscy wiedzieli, że Jezus może ich uleczyć. Słyszeli, że już nie takie cuda sprawiał. Mimo to powiedzieli: „O, nie! Od Jezusa, syna cieśli? Ja? Uzdrowienie? A w życiu. Dziękuję. Ani mi się ważcie chodzić do tego Jezusa. Ani mi się ważcie. On tam dla mnie nie jest żadnym Mistrzem”.

Oczywiście papież też nam przynosi Boga, ale to twój brat, ten, który się ciągle czepia, jest pierwszym, który ci Go przyniesie. Mimo że wady brata mógłbyś recytować przez godzinę z pamięci. Bóg przemówi do ciebie przez niego.

Największą tragedią człowieka jest to, że dobro nierzadko znajduje się w zasięgu ręki, ale by je dostać, trzeba się ukorzyć. A my mamy z tym

wyjątkowy problem. Jednym z największych wstrząsów na wykładach z teologii było dla mnie odkrycie, że Bóg wcale nie wsadza ludzi do piekła. Oni sami tam idą. Bóg błaga ich nawet, żeby tego nie robili, ale nie zawsze chcą słuchać.

> **Największą tragedią człowieka jest to, że dobro nierzadko znajduje się w zasięgu ręki, ale by je dostać, trzeba się ukorzyć. A my mamy z tym wyjątkowy problem.**

Być może ktoś od lat jest w jakimś piekle. Kiedyś była kłótnia z bratem o trzysta złotych, które pożyczył mi na święta, a ja nie miałem z czego oddać. On nie chce wybaczyć, a ja się zacietrzewiłem. Cierpisz? Cierpię. Zadzwoń do niego. Nie.

Gdybyś tak z żoną usiadł przy kieliszku wina i powiedział jej:

– Słuchaj no. Ja wiem, że byłem wtedy podły. Odbiło mi coś i rzeczywiście flirtowałem z jakąś panią. Proszę cię, wybacz mi. Uklęknę przed tobą. Nie musimy się od razu rozwodzić. Ja ci obiecam, że nigdy więcej nie zrobię podobnej głupoty.

Gdybyście tak zrobili, mielibyście w domu niesamowite święto.

> **Zawsze znajdziesz jakiś konfesjonał, w którym siedzi ksiądz.**

Czasami naprawdę wystarczy, że pójdziesz do spowiedzi. Zawsze znajdziesz jakiś konfesjonał, w którym siedzi ksiądz. Wystarczy, że powiesz mu prosto z mostu, co ci siedzi na sumieniu, i odejdziesz z kościoła dziesięć kilo lżejszy. Wiesz to? Wiem. No to idź. Nie, nie. Muszę pomyśleć,

zastanowić się. Bezradność Pana Boga polega na tym, że nie może nas zmusić do tego, żebyśmy doświadczyli dobra.

Bóg się stara, próbuje, jak może, ale to do nas należy ostatnie słowo. On się przebiera. Bóg się przebrał za starego proboszcza z twojej rodzinnej parafii. Bóg się przebrał za siostrę zakonną, która idzie ulicą z upośledzonymi dziećmi. Bóg się poprzebierał i pyta: „Kochasz Mnie?". Co odpowiesz? On się tak poniżał, że wreszcie dał się ukrzyżować. „Ludzie, a teraz Mnie kochacie?" Nie rozpoznali Go ani faryzeusze, ani uczeni w Piśmie, ani Piłat, nawet uczniowie wtedy zwiali. „Czy teraz Mnie kochacie?"

Pycha jest wirusem, który mutuje i atakuje, kiedy najmniej się tego spodziewamy.

Dlaczego tak wielu ludzi nie chce odpowiedzieć na to pytanie twierdząco? Czy to przez nieśmiałość? Być może, ale musimy pamiętać, że jest ona często przejawem pychy. Jestem nieśmiały, bo nie chcę zaryzykować wyjścia i pokazania siebie. Boję się, że się skompromituję. Zawsze więc stoję w ostatnim rzędzie i tylko przyglądam się innym. Pycha jest wirusem, który mutuje i atakuje, kiedy najmniej się tego spodziewamy. Po takiej fantastycznej spowiedzi, w czasie której rzeczywiście upokorzysz się do dna, jeszcze nie zdążysz wyjść z kościoła, a już pomyślisz: „Ale się wyspowiadałem. Moi sąsiedzi nie spowiadają się tak jak ja. I ksiądz nawet trochę mnie podziwiał, słuchając mnie w konfesjonale". Wirus zmutował. Szatan postarał się o kolejny jego wariant.

Bóg jest fanatykiem wolności – już to mówiłem. On przyjdzie do ciebie i spyta: „Kto jest Bogiem? Ja czy ty?". Jeśli mu odpowiemy: „Ja jestem

bogiem”, to On to zaakceptuje. Powie: „Rządź sobie w swoim życiu. Proszę. Jesteś bogiem. Nie skończy się to dobrze, ale tak zdecydowałeś”.

Co się stanie, jeśli na Boże pytanie odpowiemy inaczej? Jeśli powiemy, że to On jest Bogiem? Często tak jest. Mówimy: „Tylko Tyś jest święty, tylko Tyś jest Panem, tylko Tyś najwyższy i mam tu dla Ciebie, Panie Boże, taki mały program działania”. Właśnie dlatego przychodzimy potem nieraz nieszczęśliwi do księdza. Przychodzi bóg Jan Kowalski i ma zastrzeżenia do Boga w Trójcy Świętej Jedynego, że Ten nie realizuje jego planów. Skoncentruj się. Ty jesteś bogiem czy On jest Bogiem? Jeśli On, to schowaj te karteczki do jakiejś szufladki i daj Mu realizować swój plan. Czy jesteś na tyle pokorny?

Wiecie, dlaczego ludziom jest nieraz w życiu ciężko? Bo niosą na plecach cały worek pychy.

Ludzie są przekonani, chyba słusznie, że najszczęśliwszym okresem życia jest dzieciństwo. Taki pogląd przychodzi jednak z wiekiem, wtedy pojawia się sentyment do najmłodszych lat. Rodzice wówczas o wszystko dbali, a my nie mieliśmy żadnych zmartwień. Ciągle mam w pamięci wakacje, kiedy chodziliśmy rozgrzanymi ulicami Warszawy. Jak fascynował nas ślimak w parku Krasińskich. Jak fascynowały nas opowiadania dziadka i to, jaki dziadek był mądry. Potem mieliśmy piętnaście, szesnaście lat i doszliśmy do wniosku, że tamten ślimak to jakaś bzdura, że dziadek to się na życiu nie zna, a obraz z kościoła, który pokazywała nam babcia, jest kiczowaty. Staliśmy się mądrzy, światowi i smutni. Wzięliśmy na plecy worek pełen kamieni pychy. Wiecie, dlaczego ludziom jest nieraz w życiu ciężko? Bo niosą na plecach cały worek pychy.

Rémi Walle/Unsplash

Boże, ileż to roboty z tą pychą. Codziennie trzeba tylu ludzi skrytykować. Codziennie trzeba osądzać ludzi ostatecznie, szczegółowo i osobiście. Trzeba się mądrzyć i na wszystkim znać. Ciężko jest ludziom pysznym.

Kiedyś to było łatwiej. Żył sobie prosty szewczyk, który łatał buty i był szczęśliwy – takie wzorce czerpaliśmy przecież z bajek. Wiecie, dlaczego teraz jest nam tak trudno? Bo mamy ciężką głowę, a od niej kłopoty z kręgosłupem. Warto byłoby może z tego napompowanego balonu spuścić trochę powietrza i powiedzieć: „Panie Boże, jak to dobrze, że Ty jesteś Bogiem, że ja się nie muszę na wszystkim znać, że Ty mnie prowadzisz, że dałeś nam modlitwę: «Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj». A co jutro? To już Twoja sprawa, Panie Boże”.

Pan Bóg starszy człowiek, wie, co robi

Kiedyś z pomocą wojska przygotowywaliśmy procesję Bożego Ciała na Krakowskim Przedmieściu. Stałem ze starszymi oficerami przy jednym z ołtarzy i mówię do nich: „Ciekawe, panowie, czy jutro będzie pogoda na to Boże Ciało”. Wtedy jeden oficer odpowiedział mi: „Proszę księdza, co się ksiądz martwi? Pan Bóg starszy człowiek, wie, co robi”. Tak mi to utkwiło w głowie, że do tej pory pamiętam. Co się martwisz? Pan Bóg starszy człowiek, wie, co robi. On naprawdę wie, co robi.

Przychodząc do Nazaretu jako zwykły syn cieśli, Jezus miał dla swoich sąsiadów morze darów, ale te mądre balony na tych ledwo trzymających się kręgosłupach powiedziały: „Syn cieśli? Wracamy do domu”. I stracili zdrowie. Pamiętajmy o pokorze. Być może jeszcze dzisiaj, może jutro spotkamy brata, siostrę, sąsiada z podstawowym wykształceniem, który zwróci nam uwagę, że za głośno zamykamy drzwi na klatce schodowej, lub babinę na poczcie, która nam powie, że wpychamy się do kolejki. Trzeba wtedy powiedzieć: „Przepraszam”. „O! Jesteś pokorny – powie Bóg. – Zasłużyłeś na wielkie dary Boże”.

Amen.

ks. Piotr Pawlukiewicz
(1960–2020)
Agnieszka Otłowska/Foto Gość/Forum

Projekt okładki
Michał Pawłowski

Wybór i opracowanie
Adam Gutkowski

Opieka redakcyjna
Paulina Gwóźdź

Adiustacja
Aleksandra Kiełczykowska

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Beata Trebel-Bednarz

Copyright © for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2020
Copyright © by Ryszard Pawlukiewicz

ISBN 978-83-240-6227-0

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Anna Jakubowska